

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 470.**

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 21 września 1912. Nr. 38.

Niezwykła rozprawa sądowa.

(Treść na str. 2).



Nr. 38. „Nowości Illustrowanych" zawiera: XXIII. Kongres Eucharystyczny w Wiedniu. — Zgon wybitnego poety czeskiego. — Wystawa rzemieślnicza w Kaliszu. — VI. Zjazd techników polskich w Krakowie. — O mistrzostwo Galicyi. — Powódź na Bukowinie. — Wojna w czasie pokoju. — Wizyta ces. Wilhelma w Szwajcaryi i t. p.

Niezwykła rozprawa sądowa.

(Do illustracyi tytułowej).

W ostatnich dniach wydarzył się w Krakowie fakt, który jest w historyi sądownictwa galicyjskiego rzeczą dosyć niezwykłą. Przed sądem przysięgłych odbywała się rozprawa karna przeciw sześciu kolejarzom i czterem żydom, oskarżonym o to, iż od dłuższego czasu uprawiali oszustwa z biletami kolejowymi. Konduktorzy mianowicie otrzymywali od portyerów w Krakowie i Wieliczce zużyte bilety kolejowe, które następnie sprzedawali w pociągach podróżnym, jadącym „na gapę“. Szajka była dobrze zorganizowana i pracowała dłuższy czas z powodzeniem. Przy pomocy policyi wiedeńskiej zdołano ją jednak wytropić, a obecnie członkowie jej znaleźli się przed kratkami sądowymi.

Rozprawę prowadził radca Jasiewicz, prokuratoryę zastępował dr. Marowski. Oskarżonych bronili dr. Marek, poseł do Rady państwa, dr. Szalay, dr. Heski, dr. Kłębkowski, dr. Ostrowski, dr. Zakrzewski, dr. Lewartowski, dr. Gutmann i dr. Goldblatt.

Podczas rozprawy przyszło do zatargu między trybunałem, a obrońcami, którego następstwem było, iż wszyscy adwokaci złożyli obronę. Przewodniczący rozprawę przerwał, wzywając oskarżonych, aby ponownie wybrali sobie obrońców. Kiedy ci ponownie zamianowali tych samych adwokatów, którzy obronę złożyli, sąd odroczył rozprawę, a koszta jej nałożył na obrońców, którzy jej przeprowadzenie udaremnili.

Illustracya nasza przedstawia właśnie chwilę, kiedy obrońcy składają swoje mandaty wobec trybunału w czasie rozprawy.

XXIII. Kongres Eucharystyczny w Wiedniu.

Przez kilka dni odbywała się w Wiedniu olbrzymia manifestacya katolicka, w której wzięli udział przedstawiciele świata katolickiego z całego niemal świata. Na obrady zebrał się XXIII Kongres Eucharystyczny. Od szeregu lat jest on urządzany z specyalnie wielkim przepychem. Zwoływany coraz to w innych krajach, a nawet częściach świata jest wielkim hołdem oddawanym Kościołowi i religii katolickiej. Pierwszy Kongres Eucharystyczny obradował w r. 1884 w mieście Lille we Francyi. Inicyatywę do niego dała szeroka propaganda kultu eucharystycznego przez panią Tausier, przeprowadzili zaś myśl jej biskupi francuscy. Następny Kongres obradował w Awignonie, a potem po kolei zbierały się kongresy w Lüttich, Lourdes, Angere, Namur, Tournay, Metzu, Londynie, Kolonii, Montreal stolicy Kanady i t. d.



XXIII. Kongres Eucharystyczny w Wiedniu: Powitanie kardynała Rossuma (1) przez kardynała Wiednia dr. Nagla (2) obok stoją nuncyusz Scapinelli (3) i burmistrz Wiednia dr. Neumayer (4).

Na przedostatnim madryckim Kongresie naznaczono Wiedeń jako miejsce XXIII Kongresu.

Odbył on się też w stolicy Austryi z olbrzymim przepychem i przy udziale kilkuset tysięcy katolików. Specyalny nacisk położono na to, że Kongres ten odbywał się pod patronatem cesarza austryackiego, znanego ze swego przywiązania do Kościoła katolickiego. Od szeregu miesięcy czyniono w Wiedniu przygotowania na przyjęcie gości. Pobudowano specyalne baraki na hotele kongresowe, urządzono wzdłuż drogi, którą miała przechodzić procesya Kongresu olbrzymie trybuny na kilkanaście tysięcy osób.

Uroczystości kongresowe rozpoczęły się przyjęciem legata papieskiego kardynała dyakona Wilhelma von Rossum. Na dworcu powitał go hr. Czernin imieniem cesarza oraz przedstawiciele duchowieństwa z kardynałem wiedeńskim Naglem na czele. Przed operą na Kärtnerstrasse wzniesiono wspaniały namiot, a w nim powitali kardynała Rossuma reprezentanci władz, poczem po odwiedzeniu kościoła św. Szczepana kardynał legat zamieszkał w zamku cesarskim.

Obrady Kongresu, który pracował podzielony na szereg sekcyi i specyalnych zjazdów, toczyły się w całym szeregu kościołów i sal Wiednia. Główne



XXIII. Kongres Eucharystyczny w Wiedniu: Dostojnicy kościelni biorący udział w procesyi.



XXIII. Kongres Eucharystyczny w Wiedniu: Duchowieństwo i bractwa ze sztandarami w procesyi.



XXIII. Kongres Eucharystyczny w Wiedniu: Kardynał legat papieski udaje się w uroczystej procesyi do kościoła św. Szczepana po powitaniu.

zaś zebrania odbywały się w olbrzymiej wiedeńskiej rotundzie.

Głównym momentem uroczystości kongresowych była wspaniała procesya, która odbyła się w niedzielę 15 b. m. Mimo ulewnego deszczu po sumie pontyfikalnej w kościele św. Szczepana wyruszyła arcyksiążąt. Na czele pochodu jechały gwardye przyboczne, potem jechali tajni radcy na koniach, lub we własnych powozach galowych, za nimi jechali kardynałowie i biskupi, eskortowani przez kleryków, niosących pastorały biskupie, a koniec pochodu tworzyły znowu gwardye przyboczne.

Oddawszy pokłon Najśw. Sakramentowi, publiczność przez parę minut wznosiła okrzyki Hoch! powiewając chustkami. W podworcu szwajcarskim przyłączyli się do pochodu arcyksiążęta z innymi członkami domu cesarskiego. Kardynał von Rossum, za nim cesarz, dom cesarski i cały pochód udali się do



XXIII. Kongres Eucharystyczny w Wiedniu: Karoca dworska wioząca kardynała legata z *Sanctissimum* w procesyi.



XXIII. Kongres Eucharystyczny w Wiedniu: Kareta dworska wioząca cesarza w procesyi.

procesya z Przenajśw. Sakramentem. Od rana wielotysięczna publiczność poza szpalerem wojska obsadziła gęsto dwukilometrową drogę od kościoła św. Szczepana przez Ringstrasse do zewnętrznej bramy zamku.

Przy odgłosie dzwonów około wpół do 12-ej wyruszyła procesya z kościoła św. Szczepana. Naprzód jechała zaprzężona w 8 koni galowa kareta z Przenajśw. Sakramentem w której siedzieli: kardynał legat von Rossum i kardynał Nagl. Za nim postępował, również zaprzężony w 8 koni powóz z cesarzem i następcą tronu, potem powozy galowe

Na placu Maryi Teresy i na Placu Bohaterów obok tysięcy widzów, którzy zajęli miejsca na trybunach i na miejscach rezerwowanych, czekali reprezentanci narodowości z całej Monarchii austryackiej w rozmaitych strojach narodowych, dalej cały kler z kraju i zagranicy z niezliczoną ilością chorągwi kościelnych, związki studenckie w uroczystym stroju, korporacye i t. d.

Z odkrytą głową czekała publiczność na przejście pochodu i zgotowała cesarzowi entuzyastyczne owacye, które szczytu dosięgły w chwili, gdy pochód przechodził z Placu Bohaterów do Zamku.

kościoła farnego w Zamku, gdzie odbyła się repozycya Najśw. Sakramentu, poczem odprawioną została suma, zakończona udzieleniem błogosławieństwa apostolskiego. Cała uroczystość odbyła się bez wypadku, mimo iż uczestniczyło w niej około pół miliona ludzi.

W uroczystościach brało udział kilkuset biskupów i arcybiskupów i kilkunastu kardynałów. Dziennikarzy przybyło na Kongres blisko tysiąc.

O tem jaki ruch przejezdnych panował przez czas Kongresu w Wiedniu daje wyobrażenie taki fakt, że samych Słowaków przybyło do Wiednia



Wystawa rzemieślnicza w Kaliszu: Otwarcie wystawy i poświęcenie własnego gmachu Stow. rzemieślników chrześcijańskich w Kaliszu.
(Fot. M. Fuchs, Warszawa).



Wystawa rzemieślnicza w Kaliszu: Grupa członków komitetu wystawy i budowy własnego gmachu. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

w jednym tylko dniu 25 specyalnych pociągów. Z polskich biskupów przybyli prawie wszyscy z Galicyi, a także kilku z Poznańskiego i Królestwa Polskiego. Bardzo liczny udział w uroczystościach wzięła także arystokracya polska. Polacy obradowali w osobnej sekcyi, która zbierała się w kościele nadwornym św. Michała Archanioła..

Uroczystości kongresowe zakończyło wielkie zebranie w rotundzie, na zakończenie którego kardynał legat udzielił apostolskiego błogosławieństwa.

Następny Kongres uchwalono odbyć w la Valette, stolicy wyspy Malty.

Powódź na Bukowinie.

Zeszłego tygodnia, po kilkudniowej słocie, przeplatanej burzami, wezbrały wody w dolinach Prutu,



Powódź na Bukowinie: Zerwany most na Czeremoszu. (Fot. M. Münz, Lwów).

Czeremosza, Seretu i Suczawy, a rzeki te rozlały się szeroko, powodując wielką katastrofę i wyrządzając wszędzie ogromne spustoszenia...

W Czerniowcach Prut wystąpił z brzegów i wzburzonemi falami okrył całą dolinę.

Woda wtargnęła do bardzo wielu domów, a komunikacya między domami odbywała się czółnami.

Nie obeszło się też bez ofiar w ludziach.

Katastrofalne spustoszenia wyrządziła powódź w powiecie seletinckim.

Cała dolina od Falken aż do Brodiny przedstawia obraz zniszczenia, wszelkie komunikacye zostały zerwane, a nowo utworzona w sierpniu b. r. linia kolejowa aż do Sipitul jest w wielu miejscach na kilkaset metrów zniszczona albo wcale nie do przebycia.

Woda zabrała część budynku stacyjnego w Brodinie i zerwała most koło Brodiny.

Z powodu wyrządzonych przez powódź spustoszeń cała dolina wraz z powiatem Seletin odcięta została od wszelkiej komunikacyi i trzeba było wszcząć akcyę ratunkową, aby ludność tej okolicy z powodu braku komunikacyi nie była narażona w porze jesiennej i zimowej na głód.

Illustracye nasze przedstawiają kilka widoków z powodzi.

Wystawa rzemieślnicza w Kaliszu.

Wśród licznych wystaw, które w ostatnich miesiącach na terenie Królestwa Polskiego zostały urządzone, niepoślednie miejsce zajmuje wystawa rzemieślnicza w Kaliszu. Została ona otwarta w tych dniach bardzo uroczyście. Obesłało ją liczne grono przemysłowców i rzemieślników, zarówno z okolicy jak i z Warszawy i innych miast przemysłowych. Z uroczystością otwarcia wystawy połączono piękny obchód poświęcenia własnego domu istniejącego w Kaliszu stowarzyszenia rzemieślników chrześcijańskich.

Po nabożeństwie, odprawionem przez ks. kanonika Płoszaja w kościele św. Józefa, członkowie komitetu wraz z gośćmi udali się do nowej siedziby Stow. rzemieślników, gdzie około godz. 2 po południu nastąpiło poświęcenie gmachu i otwarcie wystawy.



Powódź na Bukowinie: Część budynku stacyjnego w Brodinie, zabrana przez powódź.

Przemawiali ks. Jasiński, Stanisław Herbich, prezes wystawy i p. Rymarkiewicz.

Następnie członkowie komitetu oprowadzali gości przybyłych na otwarcie wystawy po Kaliszu, okazując pamiątki, wieczorem zaś około godziny 7 zgromadzono się w teatrze na koncercie, wreszcie o godzinie 10 w sali Towarzystwa muzycznego odbył się bankiet.

Wystawa ta jest jeszcze jednym z dowodów żywotności naszego społeczeństwa i chlubnie świadczy o naszych rzemieślnikach i ich pracy.

Illustracye nasze przedstawiają chwilę otwarcia wystawy, jej komitet oraz jedną z sal wystawowych, gdzie wystawiono wyroby drobnego przemysłu rzemieślniczego.



Wystawa rzemieślnicza w Kaliszu: Dział drobnego przemysłu na wystawie. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

2

Pojmujesz, *ma bien-aimée Hortence*, że we mnie obudziła się zaraz właściwa naszej płci przekora i kiedy dziadunio dwukrotnie oświadczył, że każe wyskrobać nazwisko Włocha, który malował portret pani chorążyny Dziaduskiej, ja święcie i w cichości postanowiłam wprzódy odczytać to nazwisko. Ze na to trzeba będzie niemałej odwagi i to pewna, bo ten portet niejakim przestrachem mnie przejmuje, ile że przedstawia osobę, której duch, według legendy miejscowej błądzi nocami po zamku; ale, że postanowiłam sobie dociec do tej tajemnicy, więc przy pomocy Zuzi mam nadzieję tego dokonać. W całej tej tajemniczej historyi, przyznasz sama, *ma chère amie*, jest jakaś romantyczna strona, bo zważ proszę: istniała kiedyś, a jak dziadunio powiada, przed dwustu laty, jakaś piękna pani chorążyna Dziaduska, oczywiście mężatka, żona jakiegoś pana chorążego Dziaduskiego. To pierwsza osoba dramatu, czy tragedyi. Drugą osobą jest malarz, Włoch, zapewne także piękny, bo wszyscy Włosi są bardzo przystojni... Reszty łatwo się domyśleć. Pani chorążyna zakochuje się we Włochu, i jak dziadunio mówił „rzuca plamę na nazwisko Dziaduskich" i staje się dla pięknego Włocha „cieniem tylko". Oto dane, na których taka pani Genlis naprzykład, jakiżby piękny romans osnuć potrafiła! Ja romansu nie napiszę... choć, kto wie? Nie śmiej się ze mnie, *ma chère Hortence*, bo w tej pustce i z nudów jestem gotowa i to uczynić, a jeżeli nie napiszę tkliwego romansu o polskiej damie z przed dwustu lat i pięknym artyście włoskim, to przynajmniej, o ile się tylko da, jak najdokładniej postaram się zbadać całą tę historyę, którą widocznie dziadunio chce przedemną ukryć. Na nic mu się to nie przyda, bo czyż nie jestem ciekawą córką Ewy? a zresztą, przyznasz sama, że to zadziwiające podobieństwo pani chorążyny do mnie, jest dostateczną pobudką do tych interesujących poszukiwań! Dziadunio, pokazując mi ten portret, pamiętam doskonale, rzekł: „obyś aśćka tylko z twarzy była do niej podobna". Czyżby ten starzec lękał się, żebym nie weszła kiedyś na tę samą drogę, co chorążyna i nie rzuciła plamy na nazwisko Dziaduskich? Prawda, że to przypuszczenie jest śmieszne, tem więcej, że przecież ja w żadnym włoskim malarzu się nie zakocham, bo jak wiesz, *ma petite*, że inny, rycerski ideał w sercu mojem noszę...

Ale czas wrócić do opisu owego zdarzenia, niemniej, jak podobieństwo moje do portretu pani chorążyny, osobliwszego, o którem to zdarzeniu, zdaje mi się, że ci na początku tego listu wspomniałam, zarzucając, że ono całe mnóstwo czułych wspomnień i uczuć w tkliwem mem sercu obudziło. I powiem ci jeszcze o, *ma très chère Hortence*, boć przed tobą żadnych sekretów mieć nie chcę, że właśnie to zdarzenie, w swej tajemniczości niezbadane, stało się źródłem owej niewytłumaczonej obawy, przed czekającem mię jakiemś niebezpieczeństwem, czy nieszczęściem, jaka w mej duszy powstała, i która się stała jednym z głównych powodów, że postanowiłam pisać dziennik i wszystkie, najmniej nawet pozornie ważne zdarzenia mego tutejszego życia, skrzętnie w nim notować.

Oto, jak się rzecz miała.

Kiedy tak siedzimy z dziaduniem przy wesołym ogniu na kominku i gwarzymy o „cieniu" pani chorążyny, a wicher przeciągle i żałośliwie jęczy po kurytarzach zamkowych i śnieg suchy, a ostry dudni po okienicach, nagle dało się słyszeć głośne i zajadłe naszczekiwanie całej psiarni dziadunia. Przyznaję, że moją wyobraźnię uderzyła mocno cała romantyczność tej sceny, przypominającej mi poemat Walter Scotta „Marmion", który tak namiętnie niegdyś po całych wieczorach odczytywałyśmy. Noc zimowa, wicher jęczy po starym zamku, ogień na kominku płonie, stuletni dziaduś drzemie w fotelu, psy ujadają, a „Marmion" drży z obawy. Co za romantyczna i poetycka scena! W sali starożytnego zamku wielkie cienie się włóczą po kątach, drzwi się otwierają nagle i wchodzi o północnej godzinie, jego... duch!

Co prawda, do północy jeszcze było daleko i do sali nie wszedł duch rycerza, ale *monstre* Kociuba, co oczywiście całą poetyckość tej sceny odrazu zniszczyło.

— Co tam takiego — zapytał dziadunio — czego psy szczekają?

— Jaśnie panie — niedźwiedzim pomrukiem odrzekł *monstre* Kociuba — przyjechał ojciec duchowny z klasztoru.

— Jaki ojciec duchowny?

— Czy ja wiem? nie znam go.

— Z jakiego klasztoru?

— Z jakiegożby? ze świętokrzyskiego.

— Czego chce?

— Powiada, że zabłądził i prosi, by go przyjąć. Na dworze straszna zawierucha, psa żal na świat wygnać.

— Przyprowadź go tutaj.

Monstre Kociuba wyszedł i niebawem do pokoju wkroczył poważnie i cicho mnich w czarnej sukni, z kapturem na głowę zarzuconym, z rękami wsuniętemi w rękawy swej rewerendy i stanąwszy przy drzwiach, głosem, który wstrząsnął wszystkiemi fibrami mego serca, bo mi przypomniał z zadziwiającą tożsamością, czyjś... głos męski, a zarazem pieściwy... głos, który mi brzmi zawsze w uszach i tyle wspomnień budzi..., otóż ów mnich rzekł po łacinie:

— *Laudetur Jesus Christus*!

— *In saecula saeculorum* — odrzekł dziaduś podnosząc się na fotelu — proszę was ojcze dalej... siadajcie...

Wtedy mnich postąpił parę kroków naprzód, kaptur zrzucił z głowy, światło kominka padło mu na twarz, a ja, na widok tej twarzy, zerwałam się na równe nogi, nadzwyczajnie zdziwiona, przerażona i niebiańsko uradowana, i zawołałam mimowoli:

— *Mon Dieu! c'est lui!*

Przyznasz sama, *ma mignone*, że postąpiłam bardzo nierozsądnie, że się zdradziłam z memi uczuciami, że na dobitkę wszystkiego, nogi podemną się zachwiały i z krzykiem padłam na fotel. Nie będę ci opisywała przerażenia dziadunia, dzwonienia na służbę, pojawienia się Zuzi i poczciwej Gruszki, to tylko dodam, że nawet ty, Hortence, która się odznaczasz takim chłodem i takiem panowaniem nad sobą, byłabyś z pewnością omdlała, ujrzawszy przed sobą tak nagle i niespodziewanie tę twarz, figurę, głos, oczy, wszystko... Ja nie omdlałam, choć powinnam to uczynić, ale nadzwyczajna ciekawość, gorące pragnienie odgadnięcia zagadki, powstrzymały mię od tego. Nie małom trudu musiała użyć, by przekonać dziadunia, że jestem zdrowa, obracając wszystko w śmiech, i tłumacząc się, żem się trochę przestraszyła postaci pana mnicha i jego stroju, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam. Dziadunio chciał, żebym poszła do swego pokoju i po wzruszeniu, jakiego doznałam, żebym odpoczęła. Ale za nic na świecie teraz na to bym się nie zgodziła, bo przekonana byłam, że mam przed sobą *le chevalier Thomas*, który przebrał się za mnicha zapewne dlatego, by mnie zobaczyć. Wydawało mi się to prawie pewnem, a przytem także poetycznem! Nawet pani Genlis, ani boski Jean Leagne nic podobnego nie wymyślali. Serce mi też biło w piersiach jak młotem i wszystką duszę przelałam w oczy. I w takiej chwili uroczystej miałam stąd odejść, kiedy przedemną stał on! Nigdy! nigdy!

Łatwo pojmiesz, *ma bonne amie*, z jakim niepokojem i z jakiem wylaniem się mej tkliwej duszy patrzyłam na stojącego wciąż pod drzwiami w pokornej postawie mnicha, nie mnicha. Tak, to jego głos, jego śliczne, głębokie oczy, jego figura, to on! Jedna tylko długa, czarna broda różniła go od naszego pięknego szwoleżera. Ale zapewne przyprawił ją sobie, żeby łatwiej dostać się do mnie, odszukać w głębi Polski, w głębi puszcz Swiętokrzyskich. Jakże rycerski, jak poetycki jest ten krok jego! Serce moje rwało się do niego i stałam niema, zachwycona, szczęśliwa!

Tymczasem on, zbliżywszy się parę kroków, rzekł swym głosem, który wstrząsnął mną, niby iskra elektryczna:

— Pani, racz wybaczyć, żem cię przestraszył nagłem pojawieniem się mojem, ale temu jest winna burza, która szaleje na dworze. Musiałem prosić w tym zamku o schronienie, nie chcąc zginąć marnie wśród zasp śnieżnych.

I pochylił swą piękną głowę, jakby błagał o przebaczenie, jak gdybym ja miała mu co do przebaczenia, ja która byłam uszczęśliwiona, w niebo uniesiona jego rycerskiem, romantycznem postąpieniem. Wśród tego dziadunio gadał:

— Rad jestem, mój ojcze, że ci mój zamek dać może schronienie. Raczcie usiąść. Skądże Pan Bóg prowadzi?

— Z klasztoru.

— Z którego?

— Ze Świętego Krzyża.

— Żali tam jesteś ojcze mnichem?

— Tak.

— To mi dziwne, boć przecie ojcowie świętokrzyscy brody nie noszą. Reguła im tego zakazuje, o ile wiem.

Chevalier usiadł tuż przy kominku i rzekł nieco szyderskim tonem, który mię zdziwił, ale który po namyśle wydał mi się doskonale odegraną rolą, maskującą istotę rzeczy:

— Jaką jest reguła naszego klasztoru, to jeno nam jest wiadomem. Świeccy ludzie o tem sądzić nie mogą. Wszelako dla uspokojenia waszmość pana powiem, że na noszenie brody mam *specialiter* udzielone pozwolenie księdza opata, ile, że mnie mocno zęby bolą. Reguła nasza daje tę moc opatom.

Słowa te wypowiedziane były tonem nieco rubasznym, który mię zdziwił, bo jak ci wiadomo, *chevalier* jest uosobieniem elegancyi i grzeczności, ale wytłomaczyłam je sobie rolą, jaką mój rycerz przybrał na siebie. Dziaduniowi, jak to zauważyłam po jego fizyognomii, odpowiedź ta nie podobała się mocno i przez chwilę panowało w pokoju ambarasujące milczenie, przez czas którego mniemany mnich szukał mię oczami, bo trzeba ci wiedzieć, że zmieszana tem wszystkiem i chcąc zataić swe zmieszanie, ukryłam się w cieniu, w głębi tej dużej i pełnej mroków komnaty. Milczenie to przerwał dziadunio:

— Jakże cię ojcze zowią w klasztorze?

— Gwido, do usług waszmości pana.

— Hm! — mruknął dziadunio — dość często bywam w klasztorze, bom jest jego, syndykiem i przyjaźnię się z księdzem opatem i znam wszystkich ojców, a nie słyszałem, by który z nich zwał się Gwido.

— Nic w tem dziwnego, bom ja przybył na Swięty Krzyż z Tynieckiego opactwa ledwie tydzień temu. Skądże waszmość mógłbyś mnie znać?

— Ha! skoro tak, to oczywiście skądżebym cię, księże, mógł znać?

— Ja nie jestem ksiądz.

— A cóż? — zapytał zdziwiony dziadunio.

— Braciszek, mój mości panie, braciszek jam i nie wiem, żali zostanę kiedy księdzem.

— Czemużby nie — odrzekł dziadunio — jeżeli wola będzie po temu. Nie święci przecie garnki lepią. Ale my tu gadamy, a wy ojcze możeście głodni?

— Głodny nie jestem, jenom zziąbł mocno. Jeżeli łaska, to napiłbym się czego, bo mię też zgaga po klasztornym podpiwku piecze.

Wszystko to mówione było tonem rubasznym, który mnie nadzwyczajnie dziwił i przyznać się muszę, jeszcze więcej mi się nie podobał i raził mię mocno, ale ciągle tłumaczyłam to sobie rolą, jaką na siebie *chevalier* przybrał. Tymczasem dziadunio klaskał w dłonie, a gdy *monstre* Kociuba się zjawił, kazał mu przynieść miodu, bo mówił, że na zgagę i przeziębienie jest lepszy od wina.

— Mam przedni czteroletni dereniak, ale, jeżeli braciszek woli wino, to każę podać wina.

A braciszek spuszczając wstydliwie oczy odrzekł:

— Mocnom obowiązany waszmość panu, za łaskawe względy, ale w rzeczy samej miód na przeziębienie będzie lepszy. Proszę tedy pokornie o ów dereniak.

Monstre Kociuba przyniósł tedy omszałą, pękatą butlę z onym napojem, jakimś dziwnym, o którym ani ja, ani ty zapewne nie słyszałaś i postawił ją wraz z kubkami srebrnymi na stoliczku w pobliżu kominka. Przez ten czas mnich, nie mnich, bo ostatecznie nie wiem, czego się pod tym względem trzymać, rozsiadł się wygodnie w fotelu i gładząc ręką swą śliczną brodę, która się lśniła jak krucze skrzydła, szukał mnie ciągle oczyma, ale ja się dobrze ukryłam w ciemności i zachowywałam się najciszej, bo lękałam się, żeby dziadunio nie przypomniał sobie o mnie i nie kazał mi wyjść z pokoju. Tymczasem nalano w kubki złocistego płynu, od którego mocny miodowy zapach rozszedł się dokoła, mnich skosztował, mlasnął ordynaryjnie językiem i rzekł:

— Wcale przedni miód, bardzo przedni i miłe ciepło po ciele wywołuje. Sam go waszmość pan sycileś?

Dziadunio widocznie zrażony tą zbytnią poufałością przybyłego, rzekł chłodno:

— Nie! mam od tego służbę.

— Ba! niby to służba takie specyały kiedy dobrze zrobi. Jać to wiem z doświadczenia, bo to u mnie na wsi miałem podstarościego, który powiadał, że

się od Kapucynów w Krakowie nauczył sycenia miodów, ale okazało się, że hultaj w tem eksperyencyi nie miał. Można?

Pytając tak chwycił za butlę i gdy dziaduś skinął głową na znak zezwolenia, nalał sobie cały kubek i duszkiem wypił. Bardzo mi się to wszystko nie podobało i poczęłam wątpić, czy mam przed sobą *le galant chevalier* Thomas. Czyżby ten wzór elegancyi i wykwintności tak się zachowywał? Ale z drugiej strony może należało taką rolę grać, by zwieść dziadunia, wszakże martwiło mnie teraz to, że od chwili, jak ów napój, po barbarzyńsku dereniakiem zwany, przyniesiono, mnich już mię oczami nie szukał, tylko wyłącznie zajęty był butelką. Na twarz mu wystąpiły grzechowe rumieńce! Oparł się w fotelu i pił kubek za kubkiem. Dziaduś co raz bardziej niezadowolony pytał:

— To braciszek masz majętności?

— Ba, mój mości panie, całe hrabstwo, jeno mię Niemcy obsiadły za jakieś tam podatki, czy daniny. Ale niechno będzie wojna, zaraz to tałatajstwo precz wygnam.

— Jakże to? mając całe hrabstwo, jak powiadasz, i zostałeś mnichem?

— Co ja tam za mnich. Jak mi przyjdzie fantazya, to rzucę sukienkę i po dawnemu szablę przypaszę, choć Niemcy dawno na to krzywo patrzą, ale ja akuratnie tyle dbam o to, co pies o piątą nogę.

— Hm! osobliwy z waści mnich.

— Osobliwy, czy nie osobliwy, to do rzeczy nie należy. — Naszej szlachcie się zdaje, że jak kto mniszą kapicę wdzieje, to zaraz ma być mnichem, a tu niewiadomo, co się pod mniszą skórą kryje.

Dziaduś się skrzywił i po chwili rzekł:

— Jać to widzę dobrze, że się pod acana skórą coś kryje...

Na te słowa mnich Gwido (bo tak się sam nazwał) nagle się wyprostował, oczy mu się zaiskrzyły i grzmiącym głosem zawołał:

— Acana! mnie, mnie acanem tu zowią!...

Ale nagle opamiętał się, oczy spuścił i rzekł po chwili łagodnie:

— Wybacz waszmość memu uniesieniu, człek jeszcze nie pozbył się dawnych narowów szlacheckich.

To powiedziawszy chwycił raptownie za kubek i duszkiem go wypił i z trzaskiem na stole postawił.

— To waćpan jesteś szlachcic? — spytał dziadunio, zachowując przedziwną krew zimną.

— Jużcić tak, byłem nim, a teraz jestem parobkiem Bożym. Ani słowa, przedni miód.

I znowu nalał sobie kubek.

— Czy wolno waćpana zapytać, jak się zowiesz?

— Powiedziałem już, brat Gwido.

— To zakonne nazwisko, ale ja pytam o to, jak cię na świecie zwano?

— Hm... żali nie uczono waszmościa w szkole, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła...



— Przedni miód, bardzo przedni i miłe ciepło po ciele wywołuje. Sam go waszmość syciłeś?!

Zaśmiał się rubasznie, połknął nową porcyę miodu, rozparł się wygodnie w fotelu i śmiał się ciągle i głośno. Scena stawała się bardzo nieprzyjemną i poczęłam żałować, żem tu została, zwłaszcza, że widziałam, iż dziadunio poczyna się irytować i pięście ściska i kręci się niespokojnie na krześle. A Gwido gadał:

— Cóż to? waszmość widzę siedzisz w tej ruderze wśród lasów, jak borsuk w jamie. Sam tu jesteś, co? zdaje mi się, że widziałem jakąś piękną białogłowę, gdzież ona jest? Żonka to waszmości, co?

Na to nieprzyzwoite pytanie dziadunio z zaiskrzonemi oczami zerwał się na równe nogi, a ja zgorszona, przejęta żalem i wstrętem uciekłam do siebie na górę przez wielką salę i padłam na kanapę prawie nieprzytomna, zalewając się gorzkiemi łzami. I czyż nie miałam czego płakać? czyż zawód nie był bolesny, bardzo bolesny dla mej czułej duszy? Wszak ten mnich tak uderzająco podobny z twarzy, głosu, figury do kawalera Dolabelli, nie mógł nim być ze swą rubasznością i pijaństwem. Zresztą gdyby to był kawaler, toć przecie starałby się ze mną zobaczyć, a mnich, jak Zuzia powiedziała, zaraz nazajutrz o świcie wyjechał. Nie! to nie był kawaler, ale jakież bolesne dla mnie wstrząśnienie, jakież dziwne, niesłychane podobieństwo! Czemużby wreszcie *chevalier* Thomas miał na siebie przybierać tę rolę? Wszak wiem, że jest bogaty, szlachetnego rodu, posiadający znaczne dobra gdzieś tam na Litwie, jak słyszałam, jest porucznikiem gwardyi cesarskiej, i w takich warunkach może śmiało i otwarcie starać się o moją rękę, jeżeli mię kocha. Jeżeli mię kocha!...

O *ma chère Hortence* już nie wiem, nie pojmuję co się ze mną dzieje. Głowa mię po scenie wczorajszej rozbolała, bo nakoniec przypomniałam sobie, że w żaden sposób ten mnich nie może być kawalerem, bo kawaler jest we Francyi, w Paryżu... a przecież jedna osoba w dwóch miejscach naraz znajdować się nie może. Jak mi się to wszystko, com wczoraj przypuszczała, mogło pomieścić w głowie? Ale otacza mię tu jakaś dziwna atmosfera, jakieś tajemnice niezbadane, choćby owe dziwaczne podobieństwa między mną i „Cieniem“ z przed dwustu laty, między kawalerem Dolabellą i między mnichem Gwidonem. Tracę głowę i przestaję kreślić te słowa, bo mi się myśli plączą i naprawdę chorą jestem. Pisz, pisz, ratuj twoim dobrym, zdrowym zmysłem, twoją nieszczęśliwą Julię!

Dziadunio dziś jest podobno bardzo zagniewany i jak powiada Zuzia siadł na koń (wyobraź sobie ten starzec jeździ jeszcze konno) i pojechał do klasztoru Swiętokrzyskiego. Ale co się to mnie interesować? doprawdy sama nie wiem co piszę.

Toute à vous.

Julie.

III.

Hortensya do Julii.

Paris le 10 Mars 1809.

Ma chère Julie!

Bardzo dobrze czynisz, że się odwołujesz do mego zdrowego zmysłu, do mego spokojnego i powolnego poglądu na rzeczy, bo inaczej, widzę z twoich listów, że stracisz głowę zupełnie i sama nie będziesz wiedziała, jak masz postępować. Przedewszystkiem więc słuszną robisz uwagę, że jedna osoba naraz w dwóch miejscach znajdować się nie może, że więc *chevalier* Thomas de Dolabella będąc we Francyi, w Paryżu, jednocześnie nie może przebywać w waszym zaklętym zameczku wśród gór, lasów i czarownic jeżdżących na ożogach...

Cóż, kiedy na to muszę ci odpowiedzieć, że *chevalier* Thomas de Dolabella, *oficier d'ordonance de Lès Majesté L'empereur*, od miesiąca przeszło bawi w Polsce, a właściwiej i ściślej mówiąc w Księstwie Warszawskiem, wysłany tam przez Cesarza. Z czem zaś kawaler został wysłany, nie wiem, boć przecież mnie Cesarz o tem nie raczył uprzedzić (zwłaszcza, że prawdopodobnie nie wie, że istnieje na świecie jaka Hortensya Lubisz Tomaszewska), ale to pewne, że w sprawach wojskowych, bo jak tu powszechnie mówią, zanosi się na wojnę z Austryą. A zatem *ma chère Julie*, kawaler będąc w Polsce, mógł pewnej burzliwej nocy, przebrany za mnicha Gwidona, zajechać do waszego zameczku, by swą ukochaną i śliczną *Julie* obaczyć. Czy widzisz w tem co nadzwyczajnego? ja nie...

Jednakże wcale nie twierdzę, by tajemniczy mnich był kawalerem Dolabellą, ale przypuszczam, że mógł nim być, choćby ze względu na nadzwyczajne podobieństwo twarzy, figury, głosu i ruchów, które cię tak uderzyły. Że się zaś przebrał za mnicha i zapuścił piękną czarną brodę, która cię w taki zachwyt wprawiła, tego mogą być dwa powody. Najprzód zważ o! *ma chère mau trop romanesque Julie*, że kawaler został przez Cesarza wysłany do Polski w jakiejś misyi politycznej, że powszechnie mówią o wojnie z Austryą, że zatem *monsieur* Dolabella udając się do prowincyi, będącej pod władzą Austryi (a o ile wiem, wasz zaklęty zamek znajduje się w takiej prowincyi), musiał przybrać na siebie taką figurę, któraby go nie narażała na niebezpieczeństwo. A jakaż figura lepiej go osłonić przed tem niebezpieczeństwem mogła, jak nie figura zakapturzonego mnicha? Niemniej przeto przyznać muszę, że czyniąc to kawaler zrobił krok bardzo nierozważny, ale moje serce kobiece przebacza mu go, bo uczynił to dla zobaczenia swej ukochanej. Czyż jest na świecie kobieta, któraby nie powiedziała, że *chevalier* Dolabella jest rycerskim, idealnym kochankiem, a na taką opinię, nie wątpię, że i ty się zgodzisz *ma chère Julie*.

Co zaś do drugiego powodu, dla którego kawaler przybrał na się postać mnicha Gwidona i swą rycerską twarz przystroił zachwycającą czarną brodą, oraz dla czego, zgodnie ze swą rolą zachowywał się w twoim zameczku rubasznie *et pas correctement*, to muszę ci przytoczyć samą okoliczność, o której widocznie zapomniałaś. Zechciej więc uprzytomnić sobie chwilę poznania się twego z pięknym szwoleżerem i oficerem *d'ordonance* Jego cesarskiej Mości, zechciej uprzytomnić sobie to wrażenie, jakie zrobiła na nim *ta beauté diabolique* (jak mówi zawsze o tobie stary *galanthnomo* mój wujaszek), a nadewszystko twoje nazwisko. Wszak pamiętasz jak jego piękne, ogniste oczy zaćmiły się jakąś mgłą poetycką i jak rzekł:

— Panna Dziaduska! w mojej rodzinie, od dwustu lat osiadłej w Polsce, istnieje tradycya, że mieliśmy niegdyś ciężkie spory z Dziaduskiemi i że ci wielką krzywdę nam kiedyś wyrządzili. Co to było nie wiem, ale nie sądzę, by jakieś tam stare spory mogły wpłynąć na panią, panno Julio.

Czy pamiętasz coś mu odpowiedziała na te słowa? Zapewne pamiętasz, ja zaś odczytując po kilkakroć twój ostatni, bardzo niejasny list, a nadewszystko twoje romantyczne opowiadanie o portrecie pani chorążynej Dziaduskiej, tak uderzająco do ciebie podobnej, o olejkarzu włoskim, jak nazwał kogoś twój dziadek (istny moment przedpotopowy, cudem w puszczach polskich przechowany), przy pierwszem spotkaniu się z malarzem, panem David na salonach mego wujaszka, który ciebie nazywa „dyabelską pięknością“ (na które określenie ja najzupełniej się zgadzam), zapytałam wspomnianego znakomitego artystę, czy istniał kiedy na świecie malarz Dolabella? I wiesz co mi odpowiedział ten mistrz nad mistrze? oto jego słowa, które radzę ci, wbij sobie dobrze w pamięć!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Niespokojna pupilka.

Francya po długich przejściach uzyskała wreszcie protektorat nad Marokkiem. Po ustąpieniu Mulej Hafida, który zrezygnował z tronu, Francya osadziła na nim swego protegowanego a zarazem ślepe narzędzie swojej polityki. Niestety! nie poszło wszystko tak gładko, jak sobie to w Paryżu wyobrażano.

Zaledwie nowy władca wstąpił na tron, pojawiło się aż dwóch pretendentów. W Marokku wre znowu, a Francya, aby utrzymać tam swoją powagę, musi na gwałt wzmacniać swe garnizony. Czyni to też, choć niechętnie, gdyż utrzymywanie takiego pogotowia wojennego kosztuje miliony. Mimo to od raz powziętego planu nie może odstąpić, gdyż wartość posiadania Marokka przez Francyę jest zbyt wielka, aby dla niej nie podejmować dosyć ryzykownego przedsięwzięcia.

Obecnie sytuacya przez możliwość utrzymania się Włoch w Trypolisie stała się jeszcze poważniejszą, gdyż obecnie Anglia, Francya i Włochy będą rywalizowały w rozszerzeniu swych wpływów na wybrzeżach afrykańskich morza Śródziemnego.

W tych dniach wysłano z Francyi ekspedycyę wojenną do Marokka. Wypłynęła ona z portu w Marsylii, uroczyście żegnana przez władze i publiczność, która tłumami wyległa na brzeg.

Illustracya nasza przedstawia właśnie chwilę wsiadania na statki wysyłanych oddziałów wojska.



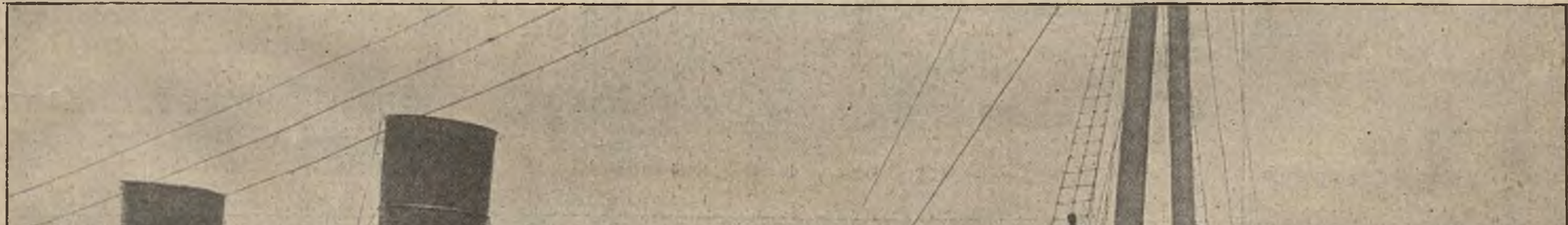


Wojna podczas pokoju:
Szczątki monoplanu wojskowego, który uległ katastrofie podczas manewrów angielskich. Manewry armii angielskiej: przybycie motocyklisty z rozkazem.

VI. Zjazd techników polskich w Krakowie.

Przez ostatnich kilka dni obradował w Krakowie wielki szósty Kongres techników polskich. Zjazd uczestników był bardzo liczny, przybyło bowiem blisko 800 techników z pod trzech zaborów, między nimi zaś szereg wybitnych powag naukowych i technicznych. Prace Zjazdu zostały podzielone właściwie na ośm osobnych fachowych zjadów, z których każdy zajmował się specyalnymi gałęziami wiedzy technicznej, a mianowicie były sekcye techników budowli wodnych, techników budowy i hygieny miast, mechaników, architektów i budowniczych, chemików, gazowników, elektromechaników i górników i hutników. Uroczyste otwarcie Zjazdu odbyło się w auli uniwersytetu Jagiellońskiego, następnie zaś obrady odbywały się bądź w gmachu uniwersytetu, bądź w Izbie handlowej. Poza obradami i wykładami w sekcyach odbyło się kilka odczytów praktycznych, połączonych ze zwiedzeniem poszczególnych przedsiębiorstw i budowli. I tak uczestnicy Zjazdu zwiedzili fabrykę Zieleniewskiego, następnie w trzecim dniu Zjazdu odbyli wycieczkę statkami parowymi po Wiśle, oglądając roboty bulwarowe, prowadzone przez firmę p. Rodakowskiego, Sosnowskiego i Zacharyewicza.

Ostatnie posiedzenie Zjazdu odbyło się znowu w auli uniwersytetu. Przewodniczył prezes Tow. techników w Warszawie, inż. Drzewiecki. Na tem posiedzeniu złożyli przedstawiciele poszczególnych sekcyi sprawozdania z ich czynności. Między innymi



Niespokojna pupilka: Odjazd wojsk francuskich z portu w Marsylii do Marokka.

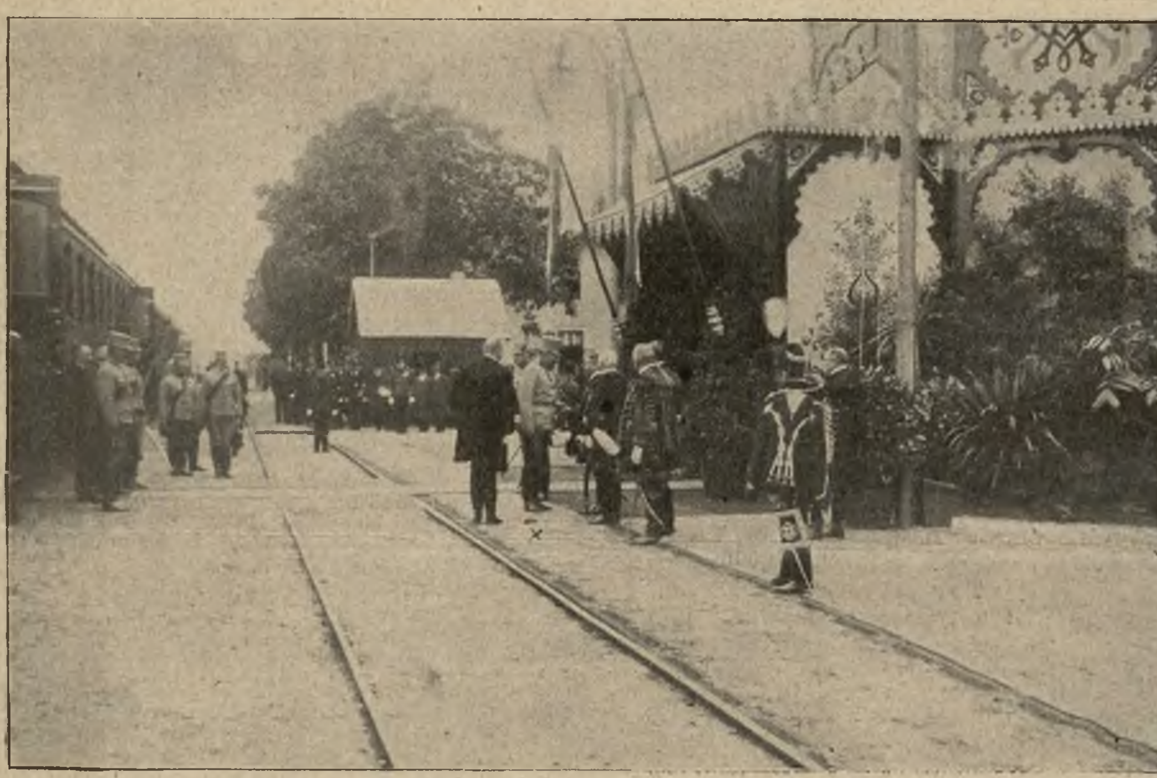




Wojna podezas pokoju:

Manewry w Anglii: przeprawa przez rzekę. Gen. Pau, zastępca Francyi, biorący udział w manewrach szwajcarskich.

sekcya hygieny i budowy miast postanowiła domagać się utworzenia katedry budownictwa miast przy lwowskiej politechnice. Sekcya chemików uchwaliła utworzyć ogólną organizacyę chemików.



Wojna podezas pokoju: Manewry na Węgrzech. Powitanie następcy tronu na dworcu w Mezőhegyes

Do stałej delegacyi zjazdowej wybrano inżynierów Maywalda, Ludw. Regeca, wiceprezydenta Krakowa Sarego, inż. Łatkiewicza, architekta Rawskiego, inż. Teodorowicza, Jana Brzostowskiego, Aleksandra Rotterta i Rollego.

Wreszcie po dłuższej dyskusyi uchwalono bardzo doniosły wniosek, aby rada stała Zjazdu postarała się w jak najkrótszym czasie o założenie Towarzystwa nauk technicznych w Krakowie.

Jako miejsce następnego Zjazdu w r. 1914 oznaczono Warszawę.

W ostatnim dniu Zjazdu uczestnicy tegoż odbyli szereg wycieczek. Mianowicie zwiedzili kopalnie węgla w Sierszy oraz nowo budującą się cementownię „Górka", oraz centralę elektryczną w Sierszy; część zaś zwiedziła roboty budowlane nowego zakładu dla umysłowo chorych w Kobierzynie oraz zrobiła wycieczkę do Wieliczki.

W czasie Zjazdu wydawał komitet pismo codzienne, w którem pomieszczane były obszerne sprawozdania z przebiegu Zjazdu.

Poza obradami fachowymi przyjmowano Zjazd w Krakowie bardzo uroczyście. Miasto wydało na ich cześć wspaniały raut w salach Starego Teatru, zaś krakowski komitet Zjazdu uczcił uczestników wielkim bankietem.

Wizyta ces. Wilhelma w Szwajcaryi.

Cesarz niemiecki jest jednym z tych panujących, którzy lubią podróżować. Co roku wyjeżdża on raz



VI. Zjazd techników polskich w Krakowie: Uczestnicy Zjazdu przed Uniwersytetem Jagiellońskim.

lub więcej razy z swego państwa, składając wizyty sąsiadom, a wzamian przyjmując bardzo chętnie wszelkie wizyty u siebie w kraju. Przy tej sposobności przedsiębiorczy cesarz nawiązuje nici różnych przedsięwzięć politycznych, a zarazem wysuwa politykę państwową Niemiec na czoło europejskich stosunków.

W tym roku ces. Wilhelm wybrał się w odwiedziny do Szwajcaryi. Uczynił to może po części dla tego, że Szwajcarowie wogóle dosyć niechętnie odnosili się do Niemiec. Szło więc o piewien akt sąsiedzkiej kurtuazyi, któryby przejednał opinię szwajcarską. Cesarz chciał także przeciwdziałać polityce Francyi, która od dłuższego czasu stara się odsunąć Szwajcaryę od Niemiec.

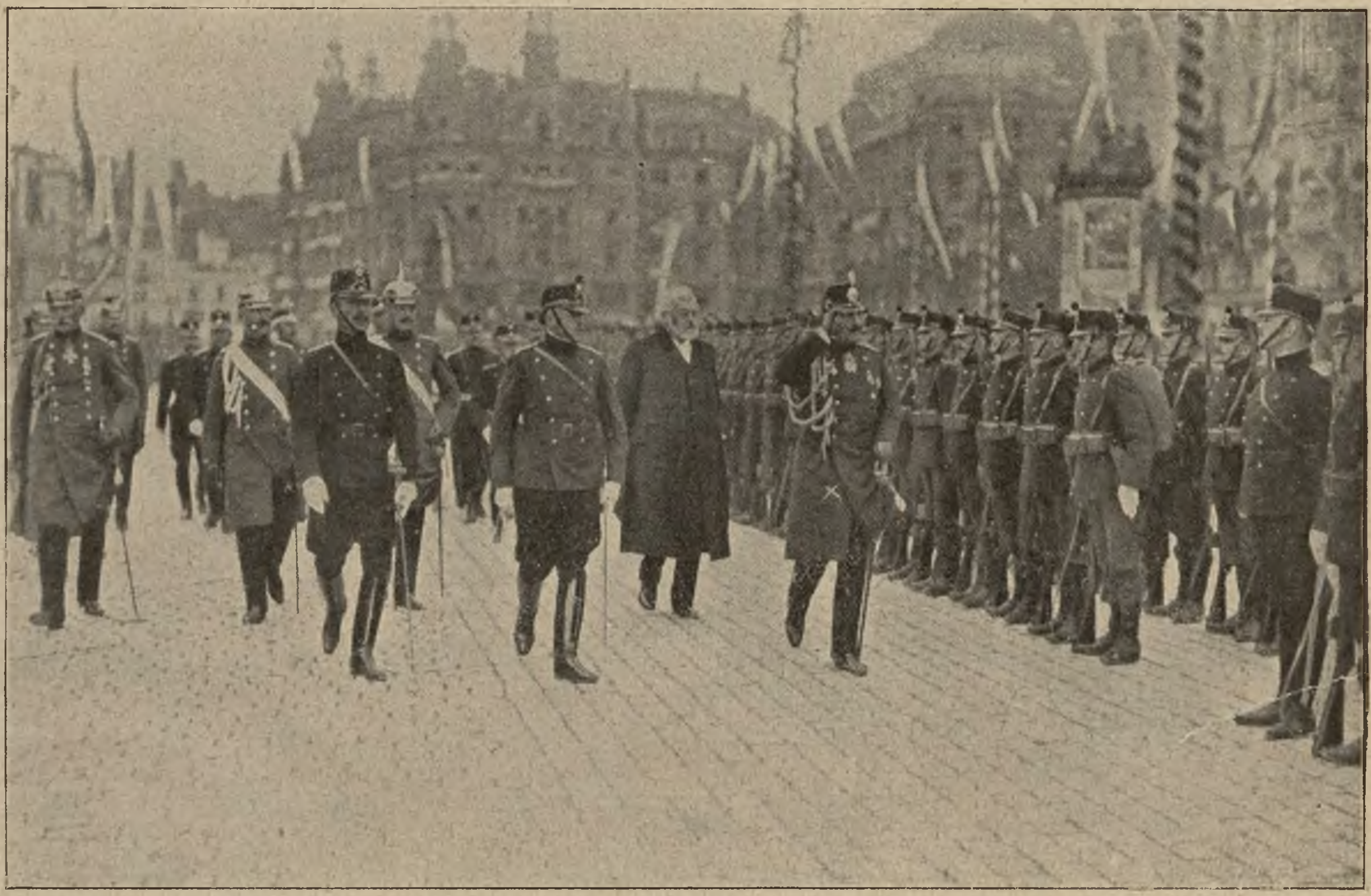
Wizyta cesarska trwała kilka dni. Ces. Wilhelm przybył do Berna, gdzie powitano go na ziemi szwajcarskiej. W Zurychu przyjął go oficyalnie prezydent Szwajcaryi Forzer. W drugim dniu swego pobytu brał cesarz udział w wielkich manewrach wojsk szwajcarskich.

Wyjechał automobilem aż na linię ognia i interesował się bardzo przebiegiem manewrów. Po manewrach zwiedził cesarz zbiory historyczne w klasztorze Ittingen, skąd powrócił do Zurychu. Wieczorem urządzono na jego cześć wielki festyn na jeziorze.

Na przyjęciu w domu związkowym ofiarował cesarz Radzie związkowej wielki półtora metra wysoki zegar.

W czasie bankietów wygłoszono szereg politycznych toastów.

Illustracye nasze przedstawiają kilka momentów z pobytu ces. Wilhelma w Szwajcaryi.



Wizyta cesarza Wilhelma w Szwajcaryi: Cesarz Wilhelm (X) w towarzystwie prezydenta republiki szwajcarskiej obchodzi wartę honorową przed dworcem w Zurychu.

Wojna podczas pokoju.

Sierpień, a zwłaszcza wrzesień są miesiącami, w których wszystkie prawie państwa urządzają na wielką skalę ćwiczenia swych armii. Jest to czas t. zw. wielkich manewrów jesiennych. Podczas nich wypróbowuje się sprawność żołnierzy, bada teren, doświadcza zdolność generałów i t. p.

W bieżącym roku wielkie manewry jesienne wypadły prawie równocześnie w większych państwach Europy. W ostatnich tygodniach odbyły się one we Francyi, w Anglii, w Szwajcaryi i Austryi.

Austryackie manewry odbywały się tego roku w odmiennych niż zwykle warunkach. Jako teren obrano okolicę zupełnie płaską w południowych Węgrzech, między Cisą, Maros i Körös, z tem założeniem, że nieprzyjaciel wpadł od południa monarchii i dąży ku Węgierskim równinom. Brak wielkich pagórków i wybitniejszych punktów wytycznych utrudniał bardzo prowadzenie manewrów. Po raz pierwszy zastosowano przy tych manewrach nową zasadę taktyczną, mianowicie dotychczas prowadzono ćwiczenia przez cały okres czasu, na jaki z góry je wyznaczono. Obecnie zaś postawiono zasadę, że manewry przerywa się w chwili, kiedy walka obu stron dojdzie do kulminacyjnego punktu.

Główna kwatera znajdowała się w miejscowości Mezökegyes i tam koncentrował się teren operacyjny. Z ramienia cesarza prowadził manewry następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand, po raz pierwszy bowiem od długiego czasu cesarz osobiście nie przybył, z powodu słabego stanu zdrowia.

Manewry trwały tylko dwa dni, gdyż drugiego dnia uzyskano już taką sytuacyę, że arcyksiążę na-



Wizyta cesarza Wilhelma w Szwajcaryi: Wilhelm II. i prezydent Forzer przed Domem związkowym w Bernie.



Katastrofy olbrzymów: Okręt „Vixen“, ustawiony w doku do naprawy po katastrofie.



Wojna podczas pokoju: Manewry na Węgrzech Arcyksiążę Fryderyk (X), arcyksiążę Leopold Salwator (XX) przed główną kwaterą.

kazał przerwać dalszą walkę. Nieprzyjaciel został odparty, nie pozwolono mu nawet przejść rzeki Maros koło Mako.

Bardzo czynny udział w pracach wywiadowczych obu dni wzięli awiatycy wojskowi, którzy bardzo energicznie pełnili służbę wywiadowczą. Szczęśliwie obyło się bez wypadku.

Gorszy przebieg miały manewry francuskie. Skończyły się niespodziewanie w sposób, którego się kierownicy manewrów nie spodziewali.

Manewry główne francuskie, w których brał udział jako gość wielki książę rosyjski Mikołaj, przez cały swój przebieg pełne były różnych wypadków. Manewry tej brygady zostały najpierw przerwane wskutek śmierci generała Entza, następnie przeszkodził rozwijaniu się akcyi pożar, jaki wybuchł w kwaterze jednego z pułków. Koroną niepowodzeń zaś było pojmanie do niewoli komendanta armii czerwonej, gen. Mariona, wraz z całym sztabem przez armię białą.'

Gen. Dubois, dowodzący dywizyą kawaleryi, potrafił tak podejść pozycyę przeciwnika, że odciął go od reszty armii. Gen. Marion znajdował się w krytycznej chwili na lewem skrajnem skrzydle swej armii przed frontem na wzgórzu, z którego kierował walką. Ponieważ nie był kryty z żadnej strony strażą, gen. Duboisowi udało go się szerokim marszem lasami tak otoczyć, że gen. Marion został zupełnie odcięty od swych wojsk. Ma się rozumieć manewry musiano przerwać, gdyż wraz ze sztabem armia gen. Dubois zabrała także wszelkie karty, raporty i t. d. a więc wskazówki, które zupełnie wydały ją w ręce przeciwnika.

Sytuacya podobna była już raz w historyi, mianowicie pod Sedanem, gdzie po stronie Francyi walczył Mac Mahon, gen. Moltke przez wzięcie do niewoli kuryera sztabu francuskiego uzyskał cały dokładny plan rozkładu armii francuskiej i dlatego ją pokonał.

Manewry szwajcarskie zwróciły tego roku specyalnie uwagę świata politycznego ze względu zarówno na teren, na jakim się odbywały, jak i tę okoliczność, że przybył na nie cesarz Wilhelm. Z tej racyi do uczestniczenia w manewrach szwajcarskich wysłały wszystkie państwa specyalnych swych przedstawicieli, przybyli nawet oficerowie sztabowi z takich państw jak z Australii, Południowej Afryki, Brazylii, Argentyny i Uruguayu.

Również ciekawymi były manewry angielskie. Anglicy pod względem techniki wojennej idą zawsze na czele innych państw. To też podczas swoich manewrów zastosowali najnowsze zdobycze techniki. Wyruszyły więc do podiazdowej walki aeroplany i balony. Przy poruszaniu się wojsk zastosowano nowe środki lokomocyi i w ten sposób z manewrów angielskich zrobiono ćwiczenia na wielką skalę.

Niestety, nie obyło się bez wypadku. Jeden z wojskowych aeroplanów spadł i rozbił się w kawałki.

Manewry mają jednak także swoje złe strony. Odbiły się one n. p. na manewrach austryackich, które po części dlatego zostały przerwane, iż rozmiękłe przez ciągłe deszcze tereny tak znużyły żołnierzy, iż prawie nie byli w stanie dalej walczyć. Podobnie przy manewrach francuskich brak dostatecznie zorganizowanego planu i brak kontaktu między dowódzcami spowodował katastrofę, tak hańbiącą opinię wojsk francuskich.



Wojna podczas pokoju: Manewry na Węgrzech: Minister wojny Auffenberg (X) i min. honwedów Georgi na polu manewrów.



Wojna podczas pokoju: Manewry na Węgrzech: Krótki odpoczynek.



Wojna podczas pokoju: Manewry na Węgrzech. Zagraniczni *attaché* wojskowi na polu manewrów.

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

2)

— Aha, w takim razie — biżuterye! To kąsek jeszcze bardziej pożądany, niż brzęcząca moneta i nie radziłbym kochanemu panu puszczać się bez eskorty policyi do stolicy. Poco się narażać.

— Łatwa na to rada — wtrącił znienacka Saint Régeant. — Jedziemy oto we dwójkę do Rouen własnym kabrjoletem. Miło nam będzie podwieźć obywatela. Ktoby nas chciał zaczepić w drodze, źleby się wybrał.

Podróżny przyjrzał się Saint Régeantowi i nabrał snać zaufania do młodego człowieka, skoro odpowiedział skwapliwie:

— Z wdzięcznością przyjmuję pańską zacną usłużność. Obawiam się jednak, czy nie zrobię kłopotu.

— Zmieścimy się w trzech, zwłaszcza, że pańskie skarby niewiele zajmą miejsca...

— Panu powiem otwarcie, że...

— Nie chcę nic wiedzieć. Może pan wiezie kontrabandę. Nie chciałbym świadomie wchodzić w konflikt z władzami przez współudział w przemytnictwie.

— Władze nie obawiają się przemytników — sprostował żandarm, — lecz spisków monarchicznych i knowań Jakóbinów... Jednym i drugim solą w oku stoi generał Bonaparte, jedyna nasza ostoja... Jak dotąd, los nad nim czuwa, jak w Lombardyi, gdzie w moich oczach cudem nieledwie siebie i całe wojsko ocalił z rąk Austryaków.

— Był pan zatem na wyprawie włoskiej? — odezwał się wreszcie Hyde.

— Tak jest, obywatelu. U boku generała dostałem grackie pchnięcie bagnetem, a w ślad za tem, stopień kaprala... Podałem się o przeniesienie do żandarmeryi... Naszego Bonapartego nie łatwo utrącić.

— Kilka lat temu nikt o nim nie wiedział!

— Bo też losy jego są niemal cudowne. Jak burza, spadł nieoczekiwanie wśród gromów i błyskawic.

— Tak też może i zniknąć, — dodał obojętnie Hyde, — w każdym razie pustkę zostawiłby za sobą!

— Zgadzam się najzupełniej z obywatelem — potwierdził żandarm zadowolony z siebie.

Skoro obiad się skończył, powstali wszyscy.

Rudy człowiek przeczekał, aż wyjdą z jadalni, poczem najswobodniej podszedł do żandarma:

— Proszę żądać legitymacyi od tych indywiduów — rzucił — ze spojrzeniem w stronę Hyde i Saint Régeanta.

— Z jakiej racyi pan mi rozkazuje? — zaprotestował żandarm z nietajoną niechęcią.

— Bo mam po temu prawo.

— Jakiż mam na to dowód?

Rudy dobył z angielskiej kurtki bilet i pod nos go podsunął władzy miejscowej. Stało tam: Minister Policyi. Legitymacya pana Braconneau i podpis Fouché'go. Żandarm rękę podniósł do kapelusza, wyciągnął się, jak drut:

— Przepraszam... Nie wiedziałem... Załatwię natychmiast.

Jednocześnie na podwórzu Saint Régeant stał nad gospodarzem, zakładającym do kabrjoletu rosłego konia. Wtem żandarm położył mu rękę na ramieniu.

— Spodziewam się, że człowiek tak dbały o dobrą komitywę z władzami dopełnił przed wybraniem się w podróż wszelkich wymaganych formalności.

— Słowem chodzi panu o mój paszport; służę nim natychmiast — były słowa Saint Régeanta.

Poszukał w portfelu, dobył zeń arkusz złożony we czworo i podał kapralowi. Stało tam: Wiktor Leclerc, handlujący jedwabiami, Paryż ulica Prouvaire l. 7. Podpis był prawomocny. Żandarm oddał papier Saint Régeantowi, opatrującemu uprząż.

— Jeżeli panu chodzi o mego towarzysza, przywołam go tutaj.

— Nie, nie trzeba. Wszystko w porządku.

— A jakżeżby mogło być inaczej! Dziś policya wzięła się do wszystkich na ostro, jak nigdy. Od Fécamp spotykamy nieustannie patrole; już co najmniej dziesięć razy pytano nas o paszport.

— Wszystkiego narobił ten przeklęty Frotté. Na szczęście uwolnił nas przecie od swej osoby. Od dwu dni jest w Argentan, skąd mamy urzędowe raporta.

— Jak to dobrze, będzie spokój przynajmniej na jakiś czas — zauważył Saint Régeant.

Żandarm powrócił do niepokaźnego zwierzchnika:

— Pańskie podejrzenia nie sprawdzają się. To agent handlowy, Leclerc wraca z Fécamp do Paryża.

— To nie dowodzi niczego. Habit nie stanowi mnicha.

Zawrócił z miejsca, gwizdnął donośnie, a na ten znak chłopiec stajenny wyprowadził osiodłaną szkapinę, której on dosiadł bardzo wprawnie. Rzucił pieniądz chłopakowi, skłonił się gospodarzowi zdaleka i stępo wyjechał na gościniec. Tejże chwili Hyde skinął na obywatela w bronzowym surducie, a gdy ten zasiadł w powoziku, Hyde umieścił się obok niego, również i Saint Régeant, po załatwieniu rachunku z gospodarzem stawiał już nogę na stopniu, gdy wtem oberżysta zatrzymał go i szepnął:

— Zauważyliście tego rudego gościa, który dopiero co stąd wyjechał? Jestto, jak się w tej chwili dowiedziałem od żandarma, urzędnik policyi, który ma na was oko. Strzeżcież się zatem. Wkońcu jedźcie wprost pod Jelenia, gospodarz pozna mego konia, unikniecie wszelkich wyjaśnień. Szczęśliwej drogi.

— Dzięki. — Już młodzieniec był w powoziku, ujął lejce i popędził. W Rouen powtórzyła się ta sama scena. Gospodarz nakarmił i przenocował gości, usłyszał ich nazwiska, a wobec tego i nasi podróżni dowiedzieli się, że towarzyszy im Franciszek Lerebourg, kupiec modnych towarów z Paryża. Po spokojnie spędzonej nocy i wczesnem śniadaniu nasi towarzysze wsiedli do kabrjoletu, zaprzężonego tym razem karym koniem i usłyszeli od gospodarza:

— Staniecie u poczmistrza w Evreux, który zna mojego konia i o nic nie będzie się pytał. Proszę pozdrowić go odemnie i oznajmić, że oczekuję go w najbliższym czasie. Powodzenia życzę.

Koń z Rouen nie ustępował w sprawności swemu poprzednikowi z Iwetot i z jedynem popasem znalazł się w Evreux. Droga była spokojna, bezludna. Zdała widać było wieśniaków, zajętych w polu. Obywatel Lerebourg w Rouen wypogodził się nagle, jakby mu ciężka troska spadła z serca i w dalszej drodze wyspowiadał się towarzyszom z kolei swego żywota. Miał lat 45 i śliczną młodą żonę z dobrego domu, zrujnowanego w czasie rewolucyi. Panna Emilia, sama na świecie, znalazła przytułek w domu Lerebourg, jako modystka, a intelligencyą i wdziękiem wyrobiła sobie w jego firmie pierwszorzędne stanowisko. Zgodziła się wreszcie na małżeństwo z szefem. Miał on dla niej bezgraniczne zaufanie, wysokie przekonanie o jej niezwykłości i szczery podziw. Jej to zawdzięczał podniesienie firmy, za jej radą rozszerzył zakres działalności. Teraz wraca oto z nad Kanału, gdzie mu dostarczono z Anglii, drogą przemytniczą, wspaniałych, cennych koronek. Niestety, szuani, czujniejsi od policyi, przyłapali kontrabandę, lecz Lerebourg'owi udało się rzucając im na pastwę rzeczy mniej wartościowe, ukryć najdroższe okazy. Koronki przeznaczone były dla pani Bonaparte, jednej z najlepszych klientek, która dbałością o strój własny niemało przyczyniła się do dźwignięcia z długiego przesilenia modnych gałęzi przemysłu.

Przy tej wzmiance Hyde i Saint Régeant zamienili porozumiewawcze spojrzenia. Okazało się, że nowa znajomość może się bardzo przydać i że nie należy zaniedbywać jej po ukończeniu wspólnej podróży. W pobliżu Rambouillet zatrzymali się u dzierżawcy, wskazanego przez poczmistrza w Evreux, I tu doznali równie serdecznego, jak na poprzednich etapach, przyjęcia. Spędzili noc w zacisznej osadzie, zdala od głównego traktu, dokąd dobili dopiero późno w noc. Siwy starzec, ojciec szuana, sam im podał wieczerzę, służba spała już w innej części domostwa. Jednocześnie pasterz wrócił z pastwiska, zjadł chleb ze serem i napił się jabłecznika, poczem odszedł do stada. Wędrowcy pozostali z gospodarzem bardzo zaniepokojonym. Zamykał on okiennice z tak bojaźliwą starannością, że Hyde mimowoli ozwał się pytająco:

— Obywatel obawia się bardzo złodziei? Jest tu nas dziś tylu, że dalibyśmy sobie z nimi radę.

Gospodarz wstrząsnął głową: — Źle się u nas od pewnego czasu dzieje, nie można być zbyt ostrożnym.

— Zdarzają się tu zatem napady?

— Są, są bandyci — gospodarz głos zniżył przezornie. — Tydzień temu napadli mego sąsiada, zabili go, ograbili dom z wszelkich kosztowności i pieniędzy a budynek puścili z dymem.

— Tam do licha! — mruknął Saint-Régeant. —

— Słyszałem w Paryżu — wtrącił Lerebourg — że ci bandyci to partyzantka, zasilająca łupami swych wypraw kasę wojenną Bretonów i Normanów.

— Niema w tem ani źdźbła prawdy. Ich metoda wojenna dowodzi, że to pospolici zbrodniarze, których celem jest mord i rozbój, a bynajmniej nie bojowcy. Gdyby zaś istotnie byli szuanami...

Tu przerwał Hyde, nieznacznie kładąc palec na ustach, by przeszkodzić gospodarzowi w wygłoszeniu ryzykownej może opinii o rojalistach-bojowcach. Gospodarz znak zrozumiał, acz mocno nim zdziwiony i zmienił natychmiast temat.

— Panowie pozwolą, że ich zaprowadzę do przygotowanej sypialni. Po trudach podróży...

Lerebourg pierwszy skorzystał z zaproszenia i poszedł za gospodarzem skrętami stromych schodów na piąterko. Saint Régeant i Hyde zatrzymali się na dole, a gdy gospodarz powrócił, wytłómaczyli mu swe zachowanie.

— Nie znamy politycznych przekonań naszego towarzysza podróży, nie mogliśmy przeto dopuścić do dalszych wynurzań z waszej strony. Może to być człowiek najlepszy w świecie, a jednak nie nasz... poco ma wiedzieć, komu towarzyszy. I na nas pora iść spać, lecz nie rozbierajmy się, by być w pogotowiu.

Nim upłynęło kilka minut, cisza snu zaległa na folwarku. Niezwykle ciemną noc rozświetlało na okamgnienie światło błyskawic, a w ciszę wpadł wtedy odgłos gromów. Tak minęły dwie godziny. Wtem krzyk niespodziany przeszył ciemności i światła zamajaczyły koło stajni. Dwudziestu może ludzi w ubraniu żołnierskiem, lecz pozbieranem z różnych oddziałów skierowało kroki ku domowi. Dwu ludzi w spodniach piechoty a mundurach huzarskich wlokło oszalałego ze strachu pasterza, potężne uderzenie kolbą uciszyło rozpaczliwy krzyk. Znów chwila ciszy, a potem stąpanie i dobywanie się do drzwi, poza któremi wszyscy już ze snu się zbudzili. Na parterze znaleźli się razem trzej podróżni i gospodarz, także dwu służących. Saint-Régeant i Hyde opatrzyli ze spokojem pistolety i Lerebourg sięgnął po swoje drżącemi rękoma. Gospodarz nabił dubeltówkę, ponadto przygotował potężną siekierę i długi pałasz. Służący ujęli noże ogrodnicze.

Przygotowania odbyły się w milczeniu. Byli wszyscy gotowi do zaciętej walki w obronie życia. Do drzwi uderzano potężnie ze stanowczem wezwaniem: Otwierać!

— A komu? — zapytał gospodarz.

— Dowiecie się, skoro otworzycie.

Nikt więcej nie odezwał się z obu stron drzwi, które niebawem po trzykrotnie powtórzonem szturmowaniu runęły pod silnym naporem. O kilka kroków od naszej czwórki zatrzymała się grupa napastników, na czoło jej wysunął się wysoki, stary człowiek ze słowami:

— Nie próbujcie daremnego oporu. Macie przed sobą młynarza z Limours. Oddać mi klucze od schowku z pieniędzmi, żądam w imię króla!

Zbladł Saint-Régeant na te słowa, wystąpił naprzód zmierzył groźnie przedmówcę:

— Okaż dowody, że działasz w imieniu partyi królewskiej!

— Oto moje dowody! — zawołał młynarz, dobywając parę pistoletów.

— Znasz umówione hasła? — zapytał Saint-Régeant.

— Odpowiesz mi na nie, — wrzasnął bandyta, mierząc w młodzieńca.

Ten podniósł broń, czasu nie tracąc, lecz wypalił w powietrze, a ująwszy przygotowany pałasz, rzutem na odlew otworzył szczękę młynarzowi. Hyde i gospodarz dali jednocześnie ognia. Odpowiedź napastników zalała prochem izbę, zasypała dymem. Starli się wrogowie i po zamknięciu izby leżało na jej podłodze pięciu zabitych i czterech rannych. Gospodarz zginął w brzuch ugodzony. Młynarz i jeden z domowych pachołków wili się z jękiem w boleściach. Zdziesiątkowaną bandę wyparto na zewnątrz. Hydowi, Saint-Régeantowi, Lerebourgowi i drugiemu służącemu nic się nie stało. Nabili powtórnie broń.

— Jest ich tam jeszcze z dwunastu, — obliczył przez okno Saint Régeant.

— Dodaj, że bez wodza, który w naszych rękach nic już zaszkodzić nie może. Zatarasujmy drzwi przed powtórnym atakiem; potem zobaczymy, jak postąpić, — komenderował Hyde.

Wielką szafę przestawili ku drzwiom, podparli ją jeszcze ciężką skrzynią i ławkami, poczem Hyde trącił nogą skulonego młynarza:

— Teraz, kochaneczku, musimy się porozumieć, aby uniknąć zastosowania środków ostatecznych.

Zginął z waszej ręki gospodarz domu, którego chcie liście ograbić. W zamian ubyła wam spora garstka pomocników, a tobie dowódco, niewiele się już należy. Nam to jest najzupełniej obojętne, co zamierzacie zrobić z tym folwarkiem, jako, że jesteśmi przejezdnymi gośćmi, którzy dbają tylko o własną skórę. Nie chcemy bawić się w policyę. Jeżeli wydasz swym podwładnym rozkaz puszczenia nas wolno, nie będzie nas tu za dziesięć minut, a wy będziecie mogli bez przeszkody iść swoją drogą, czy do djabła, co zresztą jest to samo. Zgoda, czy nie?

— Niech was jasny piorun spali! — życzył młynarz.

— Nie kłopocz się chłopaczku o pioruny, pilnuj lepiej własnej skóry. Nie radziłbym ci zaczynać, bo teraz my górą!

— Czego odemnie chcecie?

— Każ bandzie twej odstąpić od tego domu.

— Poprowadźcie mię do okna.

Saint-Régeant niósł herszta przy pomocy pachołka — podparł skrwawionego, który oparł się o okno i przywołał towarzyszy ochrypłym głosem:

— Widzicie, co mię spotkało, nie macie tu co robić dłużej. Gospodarz zamilkł na dobre i nie powie już, gdzie ukrył pieniądze. Odejdźcie na rozstajne drogi i tam mnie czekajcie.

— Śmierć im, że ciebie ranili!

— Wam, śmiałkom, śmierć, — odparł Saint-Régeant.

— Precz mi stąd!

Z ciemności doszedł odgłos tłumionego stuku, jak gdyby rzucenie worka do wody. Po chwili nic już nie było słychać, widocznie banda usłuchała rozkazów herszta. Hyde pierwszy wyjrzał na podwórze. W świetle pierwszych płomieni pożaru przekonał się o odwrocie zbójców.

— Co oni mogli zrobić z pojmanym pasterzem? — przyszło na myśl Saint-Régeantowi. I on i jego towarzysze dojrzeli teraz ciemną bryłę, szamocącą się w sadzawce.

— Podli, zatopili bezbronnego chłopaka! Prędko dawajcie żerdzie, widły! Może da się uratować.

Służba rzuciła się na ratunek, dobyła pasterza z wody. Rana ogromna przecinała głowę, nie wyżył też nad kilka minut. Wtedy Saint-Régeant oznajmił otaczającym:

— Nie ma tu poco dłużej popasać. Ratujcie, co się da, nim się dom' zajmie od pożaru i uciekajcie do Rambaullet. My na wózek i pędźmy karego do Paryża.

III.

Sklep pod „Błękitnym Kołpakiem“.

Magazyn Lerebourga pod „Błękitnym Kołpakiem“, zbiór ostatnich nowości z zakresu piór, koronek i materyi — wznosił się na pryncypalnej ulicy, obok kościoła św. Rocha. Na dole — sklep drobiazgów, na piętrze sala przyjęć, zamówień i przymierzania.

Od Ludwika XV. przechodziła z ojca na syna firma, zaszczycona tytułem nadwornego dostawcy. Wrzenie rewolucyi odbiło się fatalnie na interesach Lerebourgów, hipotekę obciążyły niezmiernie pożyczki państwowe, od których nikomu nie było wolno się uchylić. Te niekoniecznie dobrowolne dowody poczucia społecznego doprowadziły firmę do ruiny, lecz ocaliły zdrowie i życie spokojnemu obywatelowi, już za bierny spokój źle widzianemu. Starał się biedaczysko złożyć dowody bezinteresownego entuzyazmu dla nowej ery, rozdając cały zapas ażurowych żabotów i pikowych kamizelek świecznikom rewolucyi. Protekcya eleganckich Jakóbinów, Tallien'a i Herbois — ocaliła niewinny kark od noża gilotyny, ale nie napoiła go sympatyą dla nowej formy rządu. Natomiast utworzenie Dyrektoryatu wzbudziło niekłamany zachwyt w kupcu, który w Barrasie i jemu podobnych cenił przedewszystkiem strojnisiów, nadających ton towarzystwu. Przedewszystkiem jednak w Bonapartem widział zwiastuna lepszych losów, zgodnie z głosem całego drobnomieszczaństwa, które w ożywieniu handlu kolonialnego, w sławie orężnej, w przywróceniu kultu religijnego witało świtanie pogodnego jutra. Znikły precz łachmany sankiulotów, zabłysły jedwabie i koronki modnisiów przesadnych (incroyables). Elegancya w ubiorze i życiu nie groziła już gilotyną.

I w sklepie Lerebourga odżyła wytworność. Na wystawie pojawiły się nęcące nowości.

Bojkotowane niedawno wymysły krawców odzyskały prawo obywatelstwa, fantastyczne pomysły walczyły o pierwszeństwo i cenę.

Pani Lerebourg umiała wyzyskać chwilę, przyjęła dziesięć modystek i pięciu subjektów, a sklep zyskał na ożywieniu. Sama pani robiła honory na piętrze, strojna i uprzejma.

Odżyła tradycya firmy, jako punktu zbornego elegantów płci obojej. Nie wszystkie nowe zarządzenia trafiały do upodobania właściciela, lecz musiał się na nie godzić, aby handel szedł.

W braku rodowej arystokracyi, emigrującej jak najdalej od stolicy, musiał poprzestać na klienteli mieszczańsko urzędniczej. Pani Lerebourg, po mimo ogromnej różnicy wieku małżonków — bo lat 20 — cieszyła się nieskazitelną opinią Jak o skałę, obijały się o jej serce umizgi oficerów zwycięskiej armii włoskiej. Mimo wdzięku i niezwykłego dowcipu kokietką nie była. Mąż miał do niej nieograniczone, jak się zdawało, zasłużone zaufanie. Nic więc dziwnego, że po powrocie do Paryża kupiec w najlepszej myśli zaprosił do domu swego Saint-Régeanta, do którego powziął specyalne uczucie. Zdobył go młodzieniec wdziękiem i pogodą, podczas gdy Hyde umiał go zmrozić uszczypliwym chłodem. Lerebourg wymógł na Saint-Régeancie obietnicę, że nazajutrz złoży mu wizytę, czego Saint Régeant nie miał zamiaru zaniedbać. Zatrzymał się wraz z Hydem w hotelu pod Czerwonym Lwem, zawiadywanym przez rojalistę. Tam zastali już Jerzego Cadoudala, który ich o dzień wyprzedził: trudno go było poznać obecnie w eleganckim mieszczuchu. Peruka o szerokich bokach maskowała charakterystyczne kształty głowy, gruby kark ginął w wysokim żabocie. Zmierzył już cały Paryż i zobaczył z się wszystkimi stronnikami. Gorąco doradzał Saint Régeantowi nie zaniedbywać nawiązanej znajomości z kupcem i radził mu starać się o względy pani domu. Sądząc po mężu, będzie to prawdopodobnie poczciwa mieszczaneczka, której uprzejmość eleganta łatwo pochlebi i skłoni ją do oddania się na usługi partyi.

— Będziemy sprzedawali temu poczciwcowi, co tylko będzie trzeba: kaszmiry, blondyny, jedwabie, wyroby angielskie i irlandzkie płótno, mając sposób przemycania ich tuż popod nosem strażników.

— Nie pogardzimy zyskiem z handlu; amunicyi nigdy za dużo, zwłaszcza dla ludzi tak szczodrych w obdarzaniu nią bliźnich, jak my. Trzeba żyć w zgodzie z szefem firmy, by na wszelki przypadek módz działać z zasłony tej przyjaźni.

— Będę się starał w lot chwytać sposobność — przyrzekł Saint Régeant, jakoż nie zwlekając, wybrał się do sklepu, położonego obok św. Rocha.

Po raz ostatni widział ten kościół owego dnia straszliwego, kiedy Bonaparte uderzył (wrzesień 1795) z działami na rojalistów u stopni kościoła. Opodal wznosił się stary dom dwupiętrowy z błękitnym kołpakiem, jako godłem. Świeże to było godło: rok temu czerwienił się na tem miejscu zuchwały kołpak szkarłatny, który okolicznościowo wyparł pierwotny, bezpretensyonalny biały kołpak.



— Proszę przysłać to do pałacu. Generał sam wybierze, co uzna za najodpowiedniejsze.

Na odgłos dzwonka pospieszyła do drzwi panna z magazynu z uprzejmem zapytaniem:

— Czem możemy służyć obywatelowi?

— Chcę zobaczyć się z p. Lerebourg.

— Proszę na pierwsze piętro, tymi oto schodami.

Wygodne, suknem zasłane stopnie prowadziły do salonu, gdzie towarzysz wczorajszych przygód odbywał ważną z dwoma damami naradę nad stosem wstążek i kwiatów. Na widok młodzieńca żywe zadowolenie odbiło się na twarzy kupca — przeprosił na chwilę panie i powitał nowego przyjaciela:

— Niechże pan chwilkę spocznie. Skoro tylko ukończę z paniami, będę służył.

— Nie spieszę się. Proszę się mną nie krępować.

Młodsza z dam, piękna blondynka, od chwili już *face à main* na młodzieńca zwróciła i przyglądała mu się ciekawie. Saint-Régeant zasiadł na krześle i oglądał sklep. Tak sobie zgóry wyobrażał otoczenie Lerebourga. Wzdłuż pokoju wsparły się długie, ciężkie stoły z czarnego dębu; od twardego drzewa odbijały miękkie zwoje bogatych tkanin. Goście mogli spocząć na fotelach Louis XVI., krytych ciężkim utrechtem, monotonię ścian przerywał świecznik bronzowy, zwieszony od sufitu. Bez pretensyi, przepychu, robił pokój poważne, dostatnie wrażenie.

Młodsza pani zabrała głos:

— A zatem, panie Lerebourg, proszę przysłać to do pałacu. Generał sam obierze, co uzna za najodpowiedniejsze.

— Zna się na elegancyi nie gorzej, niż na sztuce wojennej — potwierdził kupiec, uwijając się uprzejmie.

Sprowadził panie ze schodów i po wielokrotnych ukłonach wrócił do Saint-Régeanta.

— Przepraszam kochanego pana. Nie mogłem odejść od gości, którymi były: pani Murat, siostra pierwszego konsula i pani Junot.

— Pani Murat jest bardzo piękna — zauważył St. Régeant.

— A zato p. Junot niezwykle intelligentna. To nasza dzisiejsza arystokracya.... Ale jakże się pan czuje po podróży?

— Jak najlepiej. Towarzysz mój ruszył za interesami w dalszą drogę, a ja przychodzę odwiedzić pana.

— Zatrzymuję pana na obiad. Żona moja bardzo będzie rada z poznania osoby, która mi tyle oddała w podróży usług. Bujną mają te kobiety wyobraźnię. Wyobraź pan sobie, skoro zdałem jej relacyę z naszych przygód, nabrała przekonania, że panowie podróżujecie pod osłoną specyalnej opieki i że jesteście zupełnie innymi ludźmi, niż się podajecie.

— Nie gniewałbym się wcale, gdyby pańska żona miała racyę. — Mógłbym na tem tylko zyskać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon wybitnego poety czeskiego.

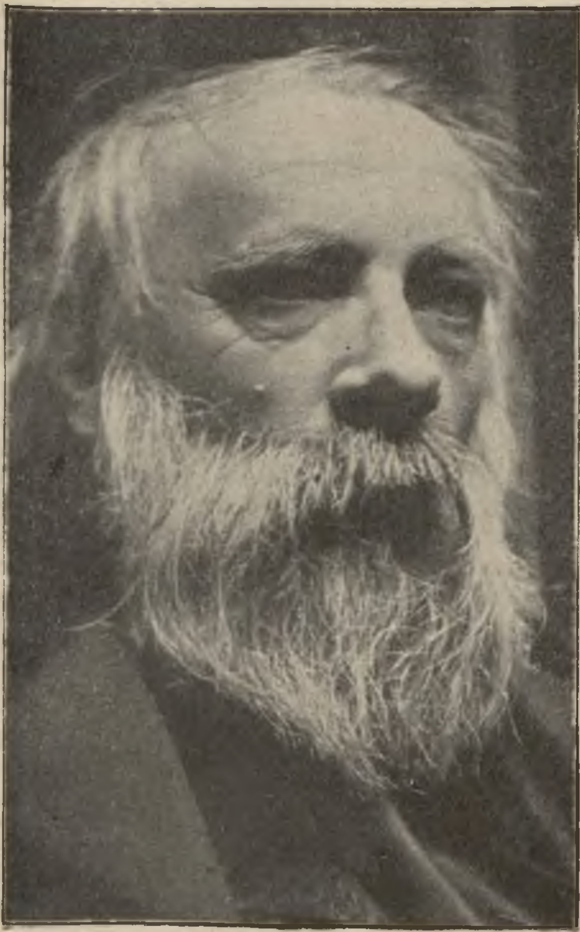
Naród czeski poniósł w tych dniach wielką stratę. W Domażlicach pod Pragą zmarł jeden z najwybitniejszych twórców czeskich Jarosław Vrchlicky. Urodzony w r. 1853 w Lounach w Czechach, kształcił się w Pradze, gdzie studyował filozofię. Jako guwerner zwiedził w r. 1876 Włochy, poczem został nauczycielem w szkole rządowej, następnie zaś był sekretarzem politechniki.

W r. 1882 bawiąc w Paryżu zapoznał się bliżej z Polakami. W r. 1883 objął redakcyę „Svietozora“. Działalność jego poetycka rozpoczyna się w r. 1875. Jako literat zasłynął wnet szeroko nie tylko w swej ojczyźnie. To też w uznaniu zasług uniwersytet czeski w Pradze mianował go w roku 1892 honorowym doktorem filozofii zaś cesarz uczcił go powołując do Izby panów.

Wiele utworów jego jest tłomaczonych na język polski. Zmarłego poetę uczcił naród czeski wspaniałym pogrzebem. Cała Praga tonęła w kirze.

Za trumną postępowała rodzina zmarłego, różni dostojnicy i delegacye.

P. Howorka prowadził delegacyę polską, w skład ktorej wchodzili pp. Prokesch, Ludwik Stasiak, St. Wysocka, artystka teatru krakowskiego i kolonia polska w Pradze.



Zgon wybitnego poety czeskiego: Jarosław Vrchlicky.



Zgon wybitnego poety czeskiego: Wyprowadzenie zwłok Vrchlickyego z Panteonu.

Zwłoki, przywiezione w piątek z Domażlic, wystawione były na widok publiczny w Panteonie Muzeum Królestwa Czeskiego na wspaniałym katafalku, u stóp którego złożono setki wieńców. Przy wynoszeniu zwłok pełniły straż honorową korporacye studenckie i sokoli.

Z uderzeniem godz. 3 po południu rozpoczął się pogrzeb. Nieprzejrzane fale ludzi zalały Vaclavske Namesti i sąsiednie ulice. Przy wynoszeniu zwłok z Panteonu przemówił burmistrz Grosz, imieniem literatów powieściopisarz Franciszek Herites, poczem towarzystwo śpiewackie „Hlahol“ wykonało szereg pieśni żałobnych.

Zwłoki złożono na sześcio-konnym karawanie, Wieńce wieziono na osobnych wozach, najpiękniejsze zaś nieśli studenci i sokoli.

W pobliżu Narodnego Divadla kondukt pogrzebowy zatrzymał się, a z wielkiej logii odezwały się dźwięki orkiestry.

Godzinę przeszło posuwał się pochód na Wyszehrad, gdzie złożono zwłoki w grobowcu zasłużonych, obok zwłok Zeyera.

Nad grobem przemawiało szereg mowców, między innymi imieniem Tow. dziennikarzy polskich Władysław Prokesch.

Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem pieśni „Kde domow mój“.

Wieczorem odbyło się w „Narodnem Divadle“ przedstawienie żałobne. Wystawiono tragedyę Vrchlickiego „Hipodamia“, w której główną rolę odegrała p. Kaudowa Horzicowa.



Zgon wybitnego poety czeskiego: Ustawianie się konduktu żałobnego przed Panteonem w Pradze.

OD REDAKCYI.

Na powitanie VI. Kongresu Techników Polskich w Krakowie wydaliśmy „Specyalny numer, poświęcony przemysłowi i technice Zagłębia Krakowskiego“. Numer ten rozszedł się w nakładzie 10.000 egzemplarzy. Dla naszych stałych Prenumeratorów dołączamy go jako bezpłatny dodatek.

Kronika tygodniowa.

Ważniejsze zdarzenia światowe zwykły poprzedzać nadzwyczajne zjawiska, jak np. komety, trzęsienia ziemi, wylewy itd.

Tak przynajmniej twierdzili nasi ojcowie i, jak mi się zdaje, mieli racyę, bo i Kraków, przed przyjazdem ministrów, przeżywa teraz ciężkie chwile i jęczy, a stęka w ogromnej opressyi.

Nie nawiedziło nas wprawdzie trzęsienie ziemi w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo podziemne potęgi za teren wyładowywania swej energii obrały sobie wyłącznie biedną Turcyę, natomiast zatrzęsły i zarysowały się różne mniejsze i większe instytucye finansowe, które poczęły się walić jedna po drugiej, niczem domki z kart.

Początek zrobiła firma braci Kahane, która wraz z handlarzami jajek w Podgórzu pracowała przy pomocy oszukańczych weksli nad uprzemysłowieniem kraju. Do czasu jednak dzban wodę nosi, wyczerpała się cierpliwość naiwnych wierzycieli, a pan prokurator, był tak grzeczny, iż poprosił finansistów siedzieć.

W ślad za braćmi Kahane poszli braci Eibenschütz, firma bankierska, uchodząca dotąd w Krakowie za nadzwyczaj solidną. Nic też dziwnego, że narodek znosił do nich na wyścigi swe oszczędności, a oni operowali niemi, ale w ten sposób, iż nadeszła chwila, gdy jeden z braci poczuł, że nie służy mu krakowskie powietrze i wyniósł się cichaczem, a przed drugim otworzyły się gościnne podwoje zakładu karnego, zostającego pod wezwaniem świętego Michała.

Wierzyciele rozpoczęli gwałt i lament, niestety było już zapóźno!

Nie koniec na tem, obiecują jeszcze dalszą seryę niespodzianek, wobec czego pomiędzy krakowskimi finansistami panuje łatwo zrozumiałe przygnębienie, a ci, którzy operowali tylko kredytem, zastają po większej części zamknięte drzwi banków, które ich dotąd zaopatrywały w gotówkę.

Doszło do tego, że dziś nie dowierza się nawet najpoważniejszym instytucyom, a dowodem tego był onegdajszy mały runek na krakowską filię Banku Ziwnosteńskiego, która jednak wyszła cało z tych opałów, jako zakład oparty na silnych podstawach i nie bawiący się w jakieś niepewne spekulacye.

Koniec końcem, była w mieście bryndza, jest jeszcze większa, a nikt nie wie, co będzie. Że nie będzie lepiej, to więcej, jak pewne!

Najbardziej dziś zadowoleni są ci, którzy, podobnie jak niżej nie podpisany, nic nie posiadają, ale żyją, na wzór ptaków niebieskich, które ani sieją, ani orzą, ale, jak się to u nas mówi, wegetują, utrzymując się z procentów od swych długów.

Taki to już garbaty los każdego literata i dziennikarza, że od urodzenia żyje w niezgodzie z ministrem finansów, ale przynajmniej nie potrzebuje się troszczyć o to, czy tam jaki bank ogłosi niewypłacalność, czy nie, bo... gdy rozboju się nie boi. Wyjątek stanowią chyba Sienkiewicz i pan Hopcas.

Choć właściwie źle powiedziałem, bo i my, tu reccy święci, odczujemy na swej skórze boleśnie owo przesilenie finansowe, a to w ten sposób, że teraz na długi czas będzie utrudniony kredyt, a każdy, ktoby chciał zaciągnąć bodaj stokoronową pożyczkę, będzie się musiał postarać o podpisy Rothschilda, lub którego z amerykańskich miliarderów.

A kto wie, czy i to zda się na co!

W tej kwestyi odbyłem poufną konferencyę z przedstawicielami naszej sympatycznej czarnej giełdy i dowiedziałem się, że na razie o tem ani nawet niema mowy, sytuacya może się wyklarować najwcześniej dopiero po kuczkach.

Wobec tego pospolitego dziadowstwa, które się stało naszym udziałem, nic też dziwnego, że coraz bardziej zaczyna się w Krakowie rozpowszechniać podawanie ręki kapryśnej Fortunie pod postacią gry w kości i ruletkę. Zabawa ta kwitnie w niektórych nocnych kawiarniach, a oddają się jej różni ludzie, nie tylko młodzi, ale i starzy.

A jaką przecudowną mamy do tego pogodę! Od kilkunastu dni pada sobie deszczyk, który jest przyczyną nader sympatycznego błotka, dającego się we znaki szczególnie tym, którzy mieszkają przy rozkopanych ulicach.

Trzeba zaś wiedzieć, że obecnie różnego rodzaju roboty ziemne prowadzi się w różnych okolicach rozszerzonego, właściwie zaś rozkopanego Krakowa.

Ofiarą ich o mało nie padł biedny kronikarz, który na Nowej Wsi ugrzązł do tego stopnia w rozkopanych kupach błota, iż dopiero połączonym usiłowaniom straży ogniowej i pogotowia ratunkowego udało się wyratować go z biedy. Ale i tak zostawił parę kaloszy w tych odmętach i na wiosnę dopiero zamierza zrganizować ekspedycyę ratunkową, która wyruszy na ich poszukiwanie.

Gdyby to było choć ciepło! Niestety, każdy z nas trzęsie się, jak w febrze i, choćby był nawet najbardziej zdeklarowanym wrogiem kobiet, wzdycha do babiego lata, a ono, jak na złość, nie chce przyjść na zawołanie.

Sufrażystki utrzymują, że wobec zrównania praw obu płci, odtąd „babie lata“ zostaną skasowane, chłopskie lato musi być także i babskiem. Ja z mej strony zgadzam się na to, pod tym jednak warunkiem, aby to lato było bez grymasów atmosferycznych, odpowiednio ciepłe i długie. Nikt nie będzie miał nic przeciw temu, by ono trwało choćby od lutego do listopada, zwłaszcza teraz, gdy węgle drożeją, a kredyt jest coraz bardziej utrudniony.

Dopóki jednak ustawowo tego się nie przeprowadzi, wymagamy i żądamy stanowczo, aby przynajmniej tego roku jeszcze „babie lato“ do nas powróciło. Interpelacyę w tym względzie miał wnieść do prezydyum jeden z radców miejskich już na pierwszem powakacyjnem posiedzeniu Rady, które się odbyło w poniedziałek dnia 16. września, niestety, zapadł na silny katar i musiał pozostać w domu. Dla ścisłości historycznej dodać należy, że i on mieszka w rozkopanej części miasta i codziennie kilka razy musi się z narażeniem życia przeprawiać przez błotnisty ocean.

Niejedna z naszych feministek, przeczytawszy powyższą wzmiankę, dotyczącą „babiego lata“, powie z pewnością:

— Aha! Pomstujecie na niewiasty, a przecież bez nich rady sobie dać nie możecie!...

I będzie miała słuszność. Ot, nie dawniej, jak wczoraj, pokłułem sobie szpetnie palce, chcąc przyszyć guzik... proszę się nie rumienić!... do kamizelki, wobec czego przyszedłem wreszcie do przekonania, że mężczyzna bez kobiety właściwie obejść się nie może, z tem jednak zastrzeżeniem, by ona nie przekraczała poruczonego jej zakresu działania, wówczas bowiem cierpi na tem autonomia domowa.

Dzieje się to zaś wówczas, gdy babom zachciewa się ująć w swe ręce ster rządów w gminie, kraju i państwie. Nie dość im, że są wszechwładnemi paniami w domu, a my musimy tak tańczyć, jak one nam zagrają, chciałyby wszędzie zepchnąć nas na drugi plan.

Oho!... Ale my się nie damy!...

Sześciodniowe narady poselskie we Lwowie nie doprowadziły właściwie do żadnego pozytywnego rezultatu, ciągle toczą się pertraktacye co do klucza, według którego miałyby być ewentualnie rozdzielone mandaty.

Jedno z pism powiada między innemi:

Klucz parlamentarny 26·4% mandatów ruskich jest stałą cyfrą, którą, jeśli się nawet przekroczy, to chyba tylko o jakich parę dziesiątych procentu, by mógł z tego być pełny mandat.

Nie dziwię się temu wcale, ów wybraniec, na którego padłyby owe „dziesiąte procentu“, mógłby być tylko jedną nogą w sejmie, gdy tymczasem on woli znaleźć się tam obydwiema, co mu znacznie ułatwi wzięcie udziału w muzykalnej obstrukcyi, gdyż, nawet na wypadek ostatecznego porozumienia się w kwestyi reformy wyborczej, nie można się spodziewać zupełnego uspokojenia się waśni narodowych.

Powiadają Rusini, że reformy nie uważają za zadatek i rękojmię stałej zgody, jest ona tylko „platformą prawną“, umożliwiającą dalsze pertraktacye co do ugody polsko ruskiej.

Innemi słowy, jeśli Palacy zgodzą się na żądania Rusinów, to oni potem wystąpią z nowemi, boć wiadomo, że jeśli się komu pozwolisz wziąć za palec, on chwyci cię potem za całą rękę, a wreszcie złapie za głowę.

Dziwnie też odbijają od tego ich usposobienia wobec nas słowa i zachowanie się metropolity Szeptyckiego podczas obiadu, wydanego we Wiedniu z okazyi kongresu eucharystycznego przez ministra rodaka Długosza.

Gdy prezes dr. Leo, wspomniał o wiekowej przeszłości łączącej naród polski z ruskim i powitał ruskich dostojników kościelnych w imię hasła pokojowego współżycia obu narodów, wznosząc toast w ręce metropolity Szeptyckiego, ten odpowiedział toastem: „Kochajmy się“, wstydził się jednak widocznie dodać: „jak pies z kotem“...

Nie zapominają bowiem nasi bracia — stryjeczni zza Sanu o żadnej sposobności, o ile mogą zalać nam gorącego sadła za skórę, a przykład mamy choćby na tem, że pan Kost Lewyckyj usilnie się stara, aby przy nowej reformie wyborczej tak syoniści, jak i Niemcy galicyjscy zyskali dla siebie gwarancyę osobnych mandatów.

Uśmiać się także musi każdy, znający stosunki wschodnio-galicyjskie, czytając lamenty „Diła“, odnoszące się do ostatniego spisu ludności. Twierdzi ono, że stokilkadziesiąt tysięcy greko-katolików zaliczono fałszywie między Polaków, a z rzymsko-katolików i Żydów, posługujących się ruskim językiem towarzyskim zaledwie jedną dwudziestą wpisano w rubrykę ruskiego języka towarzyskiego, tak, że Rusini ponoszą skutkiem tego straty około pół miliona osobników, słusznie im się należących. Wobec tego oświadcza Narodny komitet we Lwowie, że wynik ostatniego spisu ludności nie może być faktyczną miarą liczebnej siły ludności ukraińskiej w Galicyi.

Dałoby się tutaj zastosować owo przysłowie: Na złodzieju czapka gore... boć właśnie specyalistami w kradzieży dusz łacińskich są pionierowie Ukrainy, a przeprowadzają to z całą bezwzględną brutalnością. Dopiero, gdy im się silniej nastąpi na pięty, wołają: Gwałtu!.. Polacy nas krzywdzą, a nikt się nie chce ująć za nami!...

Oby Opatrzność pozwoliła, aby i mnie i Szanownym Czytelnikom do końca życia działa się taka krzywda, jak „kochanym“ braciom naszym zza Sanu.

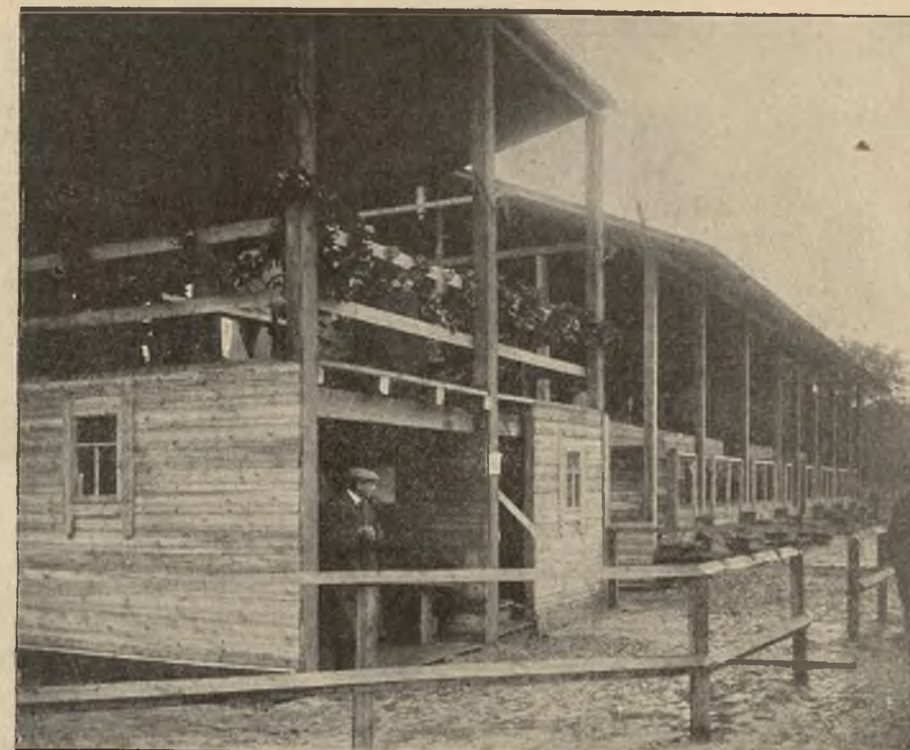
I znów nielitościwy metrampaż stoi za mym stołkiem i ojcowskim głosem upomina, bym się nie dał zbyt unieść kronikarskiemu natchnieniu, obaj jednak mamy dziś daleko weselsze miny, gdyż, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki niebo się wypogodziło, deszcz przestał padać, wyjrzało nawet z poza chmur słońce, by się przypatrzyć naszej mizeryi...

Mrugnęło kilka razy lewem okiem, poczem prawem spojrzało z podziwem na odnawiające się „Barany“... (fakt o znaczeniu historycznem, czegoś podobnego nie pamiętają nasi dziadkowie) i znów schowało się za chmurne kotary, a my snujemy dalej przędzę szarego życia i codziennie rano, otwierając oczy, pytamy ciekawie: Kto dziś zbankrutował?... Kogo zamknęli?...

Wiadomości okrętowe Linii Cunard. Parowiec „Pannonia“ przybył w drodze do New Yorku w poniedziałek 9 bm. o godz. 7-ej rano do Gibraltaru.



Wyścigi konne w Równem: Grupa uczestników biegów. (Fot. M. Fuchs, Warszawa)



Wyścigi konne w Równem: Trybuny dla widzów.

Wyścigi konne w Równem.

Przed kilku dniami odbyły się w Równem wyścigi konne i konkurs hippiczny. Organizacyę ich obięło istniejące w Równem Towarzystwo wyścigów konnych, na czele którego stoi A. ks. Lubomirski. Celem uświetnienia zabawy urządzono nowy tor, oraz wybudowano wygodne trybuny dla widzów.

W wyścigach, które również jak konkursy hippiczne miały przebieg bardzo interesujący, brały udział konie ze stajni ks. Radziwiłła, K. hr. Tarnowskiego, Napiorstkowicza, T. Dachowskiego, Peretiatkowicza, Szutilnikowa i Nadzieżdzina.

Udział sportsmenów i gości w wyścigach był bardzo duży.

Illustracye nasze przedstawiają grupę członków Tow. wyścigów konnych w Równem, uczestników biegów, oraz trybuny dla widzów.

Nowa komedya polska.

W szeregu nowości, które dyrektor teatru krakowskiego p. Solski wprowadził w tym sezonie na scenę krakowską jedno z niepoślednich miejsc zajęła komedya Ignacego Nikorowicza „W gołębniku".

P. Nikorowicz jest już dobrze znanym autorem, którego utwory nieraz już oglądaliśmy w Krakowie. Przypomnieć wystarczy „Cenzora moralności", lub sztukę osnutą na tle powieści Gąsiorowskiego „Pani Walewska".

Od dłuższego czasu przebywając za granicą, przywiózł p. Nikorowicz stamtąd nowy zapas idei twórczej. A pierwszem wystąpieniem swojem sprawił miłą niespodziankę, dając komedyę pierwszorzędnej wartości.

„W gołębniku" było grane we Lwowie, w Krakowie i Warszawie, zyskując wszędzie wielkie powodzenie.



Nowa komedya polska: Ignacy Nikorowicz, autor komedyi „W gołębniku".

Tragiczna śmierć bohatera.

U trumny japońskiego cesarza w chwili, gdy naród cały oddawał mu ostatnią posługę, zginął jeden z najdzielniejszych dowódców armii japońskiej generał Nogi. Z rozpaczy za ukochanym władcą popełnił bohater wojny rosyjsko-japońskiej harakiri, a wraz z nim zginęła samobójczą śmiercią jego żona.

Marezuko Nogi urodził się w 1849 r. W roku 1871 został majorem. W r. 1877 przy uśmierzaniu rokoszu w Satzunie dwa razy ranny, został oficerem sztabowym w brygadzie Kumamolo.

W wojnie z Chinami w r. 1894 prowadził drugą armię, wygrał 3 bitwy i pomógł do zdobycia portu Artura.

W r. 1901 przeniesiono go wprawdzie do rezerwy, ale w r. 1904 otrzymał dowództwo nad 3 armią przeciw Rosyi, zdobył dn. 2 stycznia 1905 Port Artura i w początkach marca obszedł prawe skrzydło rosyjskie pod Mukdenem.

Pod Portem Artura stracił obydwóch swoich synów.

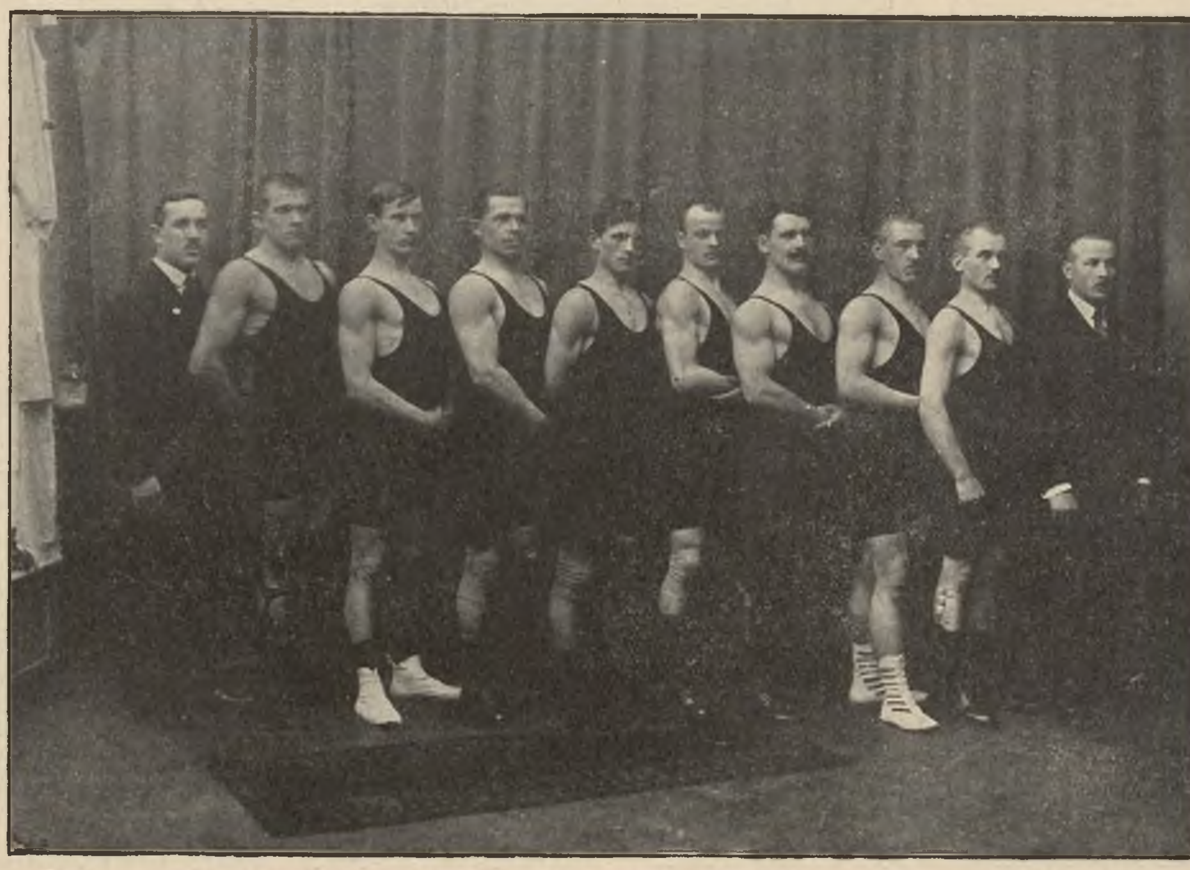
Cesarza swojego kochał wprost fanatycznie.



Wyścigi konne w Równem: Grupa członków Zarządu Towarzystwa wyścigowego. (Od lewej ku prawej stronie) Stan. hr. Czacki, August hr. Ledóchowski, Tad Dachowski, Br. Peretiatkowicz, Janusz ks. Czertwertyński, Hubert ks. Lubomirski, St. ks. Lubomirski, hr. Poniński, inż. Stodolski i Adam ks. Lubomirski (prezes).



Tragiczna śmierć bohatera: Generał Nogi



Pierwszy krakowski klub atletyczny: Grupa członków klubu.

W dniu pogrzebu mikada przywdziawszy strój uroczysty wraz z żoną oczekiwał chwili, gdy kondukt pogrzebowy wyruszy z pałacu cesarskiego. W pokoju na ścianie zawiesił portret cesarza, okryty kirem, a ostatni posiłek, herbatę, wypili małżonkowie z filiżanek, darowanych im przez zmarłego władcę.

Gdy strzały armatnie ogłosiły Japonii, iż kondukt pogrzebowy wyruszył z pałacu, gen. Nogi podciął sobie gardło krótkim mieczem, a żona jego przebiła się sztyletem.

Pierwszy krakowski klub atletyczny.

Hart ciała i hart ducha zwykle razem chodzą, a nie darmo głosi sokola dewiza: „W zdrowem ciele, zdrowy duch". Aby rozbudzić zamiłowanie do ćwiczeń ciała zawiązał się niedawno w Krakowie klub atletyczny.

Zadaniem jego jest poznawanie techniki zapaśniczej, wprawianie się w dźwiganiu ciężarów, ogółem zachowanie zdrowia i dawnych tradycyi sportowych. Klub został zorganizowany na wzór innych klubów zagranicznych i odpowiada całkowicie wymogom hygieny.

Co roku w sezonie jesiennym urządzać będzie klub wielkie doroczne zawody konkursowe o mistrzowstwo Krakowa i Galicyi. Udział w nich brać będą tylko amatorzy.

Kierownikiem i pierwszym organizatorem tego sportu tak trudnego, ale najefektowniejszego jest p. Pokój, znany amator krakowski, który z całą gorliwością zabrał się do pracy. Prezesem klubu jest poseł Klemensiewicz. Wydział tworzą: pp. Neider, Wierzbicki, Pokój (gospodarz), sprawnie sekretarzuje p. Żak, znany gimnastyk i sportowiec.

O mistrzostwo Galicyi.

Po Krakowie, który pierwszy w tym roku urządził wyścigi cyklistów, zorganizowało również Galic. Towarzystwo cyklistów i motorzystów we Lwowie współzawodnictwo o mistrzostwo Galicyi. Bieg odbył się na przestrzeni 100 klm. między Lwowem a Jaworowem w ubiegłą niedzielę.

Mimo niesprzyjającej aury i dużego błota na gościńcu ruszyło od startu kilkunastu współzawodników, między którymi bardzo licznie reprezentowani byli cykliści krakowscy z mistrzem swym Wołoszyńskim na czele.

Wynik biegu był dla Krakowa bardzo pomyślny, gdyż pierwszy do mety przybył mistrz krakowski Wołoszyński odbywszy drogę 100 klm. w przeciągu 4 godź. 20 min. Drugim był pan Wojas ze Lwowa.



O mistrzostwo Galicyi: Odjazd startujących, z boku stoi inż. Richtmann (X) prezes G. T. C. i M. we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Podróż agitacyjna automobilem.

W tych dniach wyruszył z Krakowa w podróż agitacyjną po Galicyi specyalny automobil, który wysłała redakcya wychodzącego w Krakowie dziennika „Kuryer Illustrowany". Automobil ten obwozić będzie po wszystkich miastach galicyjskich przedstawicieli redakcyi „Kuryera", którzy prowadzić będą propagandę za rozszerzaniem poczytności dziennika. Automobil jest ozdobiony reklamowymi afiszami „Kuryera" i przedstawia się bardzo oryginalnie.



Podróż agitacyjna automobilem: Automobil „Illustrowanego Kuryera codziennego" przed lokalem redakcyi.

Katastrofy olbrzymów.

(Do illustracyi na str. 9).

Wielkie statki parowe, kursujące na morzach, jak wiadomo, ulegają nieraz dotkliwym katastrofom.

Nie zawsze statki, które uległy wypadkowi, toną. Bardzo często wychodzą z niebezpieczeństwa tylko z potrzaskaną jakąś częścią i muszą następnie być naprawiane w specyalnych dokach. Największe takie urządzenia do naprawy okrętów posiadają porty angielskie. Doki są tak urządzone, że uszkodzony okręt wpływa do środka, następnie zapomocą śluz zamyka go się wewnątrz doku, wypompowuje wodę i okręt osadzony na suchem dnie doku może być łatwo naprawiony. Oprócz doków stałych są także doki ruchome, które mogą naprawiać okręty na pełnem morzu.

Illustracya nasza na str. 9 przedstawia właśnie okręt „Vixen", który przy zderzeniu się z drugim okrętem na wybrzeżu Angielskiem potrzaskał sobie przód, a który umieszczono w doku celem naprawy.

NADESŁANE.

Ukazał się nowy, bogato illustrowany album wewnętrznych dekoracyi. Ta praktyczna wskazówka na polu urządzania mieszkań, która między wielu innemi zawiera także nadzwyczajne nowości w dziedzinie dywanów, firanek i t. p., zostanie tym czytelnikom, którzy się na nasze pismo powołają, przez dom dywanów i mebli S. Schein, c. k. dostawca nadworny i kameralny, Wiedeń I., Bauermarkt 10, 12, i 14, darmo i opłatnie wysłany. Wystarcza karta korespondencyjna. Nadzwyczaj interesującą nowość tworzą w tym albumie w trójkolorowym druku wykonane wzory prawdziwie wschodnich dywanów.

Jak nam donoszą, w niedzielę 15 września rozpoczyna koncertować w znanej i powodzeniem się cieszącej **Kawiarni Teatralnej p. W. Woźniaka** sextet artystyczno-salonowy prof. Bolesława Kopystyńskiego. Panu Woźniakowi szczerze powinszować można, że się mu udało ten doborowy, bardzo sympatyczny i polski komplet zaangażować, a tem samem stałej Publiczności, uczęszczającej do jego kawiarni, przysporzyć dużo chwil przyjemnych i artystycznych wrażeń. Sextet prof. Kopystyńskiego powrócił w tych dniach z Zakopanego, gdzie go żegnano wprost owacyjnie, nie szczędząc kwiatów i szczerych słów uznania, a koncerta benefisowy i pożegnalny świadczyły, jak wielką sympatyę ten jedyny w swoim rodzaju komplet wśród muzykalnej publiczności zjednać sobie potrafił.

Głosy publiczne.

Z „Cyrku Edison": Od soboty dnia 21 do 26 b m. włącznie nowy program przynosi śliczny dramat według słynnej powieści Alfonsa Daudet'a „Ten mały" (Le petit Chose), oprócz tego pięknie uscenizowaną powieść z życia Wschodu. Komiczne obrazy z pierwszorzędnymi wykonawcami w rolach tytułowych wywołują szczerą wesołość. Aktualny „Zurnal Pathego" illustrujący wypadki światowe ubiegłego tygodnia dopełnia zajmującego programu. W piątek dnia 20 b. m. Cyrk zamknięty.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 36.

Zadanie konikowe:

Skowroneczek furknął w glebie,
Zatrzepotał w drobne skrzydła
I jak gdyby zwisł u sidła
Śpiewa ziemi pieśń na niebie.

O co prosisz, skowroneczku,
Czy o spokój w twem gniazdeczku,
Czy o ziarnko dobrą miarką,
Czy o wodę dla ochłody.

Zadanie do przestawienia: Zapomniał wół, jak cielęciem był.

Logogryf:

M
L a k
N e r o n
M a t y l d a
D y a n a
E r a
Z ł o t o
I r y d y o n
K a z a ń
C i s
A g e n t
N i e w o l a
M n i c h
O c h
W a z o n
D z i ó b a k
D a w i d
O n a

Łamigłówka:

W i r
e r a
n i l
u d o
s ó d

Zagadka literacka:

Annnzio.
Daniłowski.
Andrejew.
Makuszyński.
Kaczkowski.
Reymont.
Enault.
Choiński.
Huskowski.
Orkan.
Weysenhof.
Ibsen.
Eminowicz
Czerny.
Krzyżanowski.
Iry.

Szarada: Balsam.

Zagadka kryształowa:

K K W
K o r a l
K r e p a
W a p n o
l a o

Zadanie do przestawienia: Wyszedł, jak podkomorzanka na konkursach.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: E. Bogdalska Koropuż, K. Fuchs Czeremchów, L. Czernecki Cieszyn, M. Różycki Lwów, I Brzostowski Podgórze, M. Arbesbauer Lwów, K Szumańska Rawa Ruska, R. Bałuk Kołomyja, A. Siatka Kraków, H. Kamiński Lwów, J. Jaglarz Tarnopol, P. Madejski Wiedeń, S. Korytowski Janów, W. Gliński Jaremcze, E Dembiński Szczawnica, S. Samlicki Przemyśl, D. Staniszewski Lwów, G. Świrski Piotrków, M. Ligęza Lwów, M. Kadulski Oświęcim, S. Nowacki Przemyśl, M. Maresch Lwów. S. Krzyżanowski Podgórze. W. Piątek Podwołoczyska, M. Łapiński Warszawa, D. Engelberg Rzeszów, H. Mizerska Płock, K Armatys Ulanów, J. Jakubowska Kraków, D. Sedyńska Zakopane, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, Z. Mazaraki Radom. I. Wiewiórowski Warszawa, T. Nikiel Kraków, M Horak Oświęcim, S. Karwowski Pilzno, F. Schmidt Cieszyn, M. Obst Łódź, I Gajewski Tarnów, R. Rygiicki Poznań, H. Biesiadecki Kraków, R. Link Lwów, S Baziak Staszów, H. Wincencik Kraków, T. Kinalski Tarnopol, A. Gralewski Kraków, M Toporowski Lwów, S. Stawarski Wiedeń, A Lichański Radziwiłłów, J. Kamocki Kalisz, S. Dubiel Krosno, J. Gans Lwów, J. Czarkowski Skierniewice, J. Sperling Wiedeń, I. Gruszczyńska Wadowice, A. Biliński Tarnopol, K. Hoszowski Jaremcze, I Zachara Mielec, K. Dulęba Lwów, M. Scholz Rozwadów, K. Fijałkowski Jasło, M. Wyka Sambor, J. Wójtowicz Rzeszów, S. Kruszelnicki Janów, M. Gottlieb Sambor, J. Orlińska Jaworów, J Strojek Tarnopol, M Wojakowski Petersburg J. Gruber Drohobycz, H. Lasocińska Lublin, L. Berezowski Nowy Sącz, W. Fiala Kraków, S Zaremba Mszana, J. Antosz Sanok, K. Zapałowicz Wilno, A. Dużak Kraków, T. Chrzanowski Suwałki, S. Bukowski Kijów, S Kowalówka Kraków, K. Galiński Sanok, W. Zawadzki Tarnów, W Kwaśniewski Opatów, K. Mann Bochnia, G. Wang Tarnobrzeg, F. Blätterfeind Jaworów, K. Więckowska Warszawa, A. Wojciechowski Kraków, A. Barnat Złoczów, K. Radomski Lwów, M Rosenbaum Rzeszów, K. Malinowski Lwów, J. Obraczay Morawska Ostrawa, L. Bandrowski Częstochowa, W. Potocka Kraków, M. Jahoda Cieszyn, K. Janik Drohobycz, S Karczmarski Kraków, L. Mróz Lwów, M. Sadowska Poronin, M. Krawecki Radomyśl, S Raczyński Rzeszów, L. Ostrowski Petersburg, R. Cegielski Poznań, M Kapalski Tarnów, H. Schwarz Warszawa, W. Lisowski Warszawa, S. Lindenbaum Czerniowce, F. Urban Kraków, A Trzeciak Krynica, K. Stumpf Stanisławów, J. Roland Kielce, W Borkowski Kraków, L. Aleksandrowicz Płock, S Niżyński Lwów, J. Rachwalski Stanisławów, I. Błachowski Szczucin, J. Popiel Mińsk, R. Majewski Lwów, K. Zegartowska Bogucice, T. Tichy Cieszyn K. Gadomski Zakopane, S Kurzyniec Kraków, E. Mianowska Lwów, S. Kozarski Sichów, J. Topolnicki Kamieniec, M. Klappholz Rzeszów, E Niestenberger Zakopane, J. Cichoń Warszawa, S. Kozłowski Kraków, L Langer Kraków, I. Trojacki Wiedeń, A. Augustynowicz Lwów, S Sokołowski Rzeszów, K. Kaim Kraków, S Krysiński Częstochowa, A. Wilczkiewicz Stanisławów, S. Bobrowski Lwów, I. Zaleski Czerniowce, S Reich Łódź

Nagrodę przez losowanie otrzymał p K. Radomski, Lwów, Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Jeszcze o kapeluszach.

Jak już wspominałam w poprzednim numerze, moda nie przynosi w sezonie jesienno-zimowym zbyt wielu odmian w dziedzinie kapeluszy. Nie można bowiem za nowość w całem tego słowa znaczeniu uważać amazonek, mimo, iż tegoroczne ich odmiany są w charakterze zupełnie odrębnym. Właściwą nowością są natomiast nowe formy kanotierów oraz dzwonkowate *capelines*. Małe formy *gamin* pozostaną prawdopodobnie faworytkami sezonu, gdyż łatwość w noszeniu ich i twarzowość zyskują u pań dla nich uznanie. Mają one dosyć wysokie główki, a ronda są z lewej strony odwinięte ku dołowi, zaś po prawej stronie podwinięte ku górze. Zasadniczo robione są formy kapeluszy zimowych z pluszu i aksamitu. Filc, który w przeszłym sezonie zimowym został usunięty na plan drugi, obecnie znowu powraca, ale tylko w postaci form wielkich i miękkich.

W kolorach zaczyna zyskiwać wpływ barwa brązowa. Obok rajerów i ubrań różnego kształtu z piór strusich powraca znowu stara moda wstążek. Służyć one będą do przybrania kapeluszy w kolorach i mają barwy złoto-brązową, ciemnoniebieską lub zieloną.

Na zakończenie nie będę pisała o modach, ale powtórzę moim czytelniczkom historyę, jaka rozegrała się w pewnym sądzie w Nowym Yorku. Pewna artystka winna była 500 dolarów swej krawcowej. Ta zaskarżyła ją do sądu i uzyskała zajęcie na jej rzeczy. Ponieważ jednak te okazały się bezwartościowe, adwokat poszkodowanej wniósł, aby sąd objął zajęciem także wspaniałe podwiązki artystki, wysadzane brylantami, wartości 1170 dolarów. Temu wnioskowi sprzeciwił się zastępca artystki, dowodząc, że podwiązki tam, gdzie są noszone, nie podlegają zajęciu sądowemu. Sprawa była przedmiotem osobnej rozprawy, a sąd orzekł, że istotnie podwiązki, póki są noszone, zajęte być nie mogą. Artystka tryumfowała, ale... stosując się do litery prawa, nie mogła swego skarbu zdejmować.

W.



Kostyum jesienny, przybrany aksamitem. Kostyum jesienny, żakiet zapięty pod szyję. Płaszcz jesienny, biało-czarne wyłogi i sznur.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

8

— Nie — to nie przypadek! Znam dobrze tych ptaszków. Wejście płatniczego przerwało rozmowę.

— Dam panom innego kelnera — rzekł — tamten oświadczył mi, że panowie nie są z niego zadowoleni.

— Tak — rzekł Simonet — jakoś się nam nie podobał.

— Zmienię go w tej chwili.

— Doskonale — rzekł La Rochardie — tak będzie lepiej.

Nowy kelner był również zastępcą. Ale ten był Francuzem, o tem niepodobna było wątpić. Usługiwał bez zarzutu, był zręczny i zdawał się odgadywać myśli swych gości.

Trzej przyjaciele, uspokojeni, zaczęli rozmawiać o sprawie fotografowania dokumentu. La Rochardie i Montgomery zajadali jednocześnie z apetytem, Simonet nie chciał nic wziąć do ust, jakkolwiek menu było ułożone znakomicie. Napróżno La Rochardie tłumaczył mu, że dobre śniadanie zmniejszy zgryzotę.

Zaledwie Simonet rozpoczął opowiadanie o nieszczęściu, jakie go spotkało, gdy bez wołania i wbrew zakazom wszedł kelner, niosąc na tacy list. Podał go w milczeniu szefowi gabinetu i wyszedł.

List był zaadresowany ołówkiem:

„WPan Simonet. Poufne. Bardzo pilne".

Simonet bardzo zdziwiony i niespokojny, drżącą ręką rozerwał kopertę i przeczytał te słowa, również napisane ołówkiem:

„Mury mają uszy!"

Zdziwiony, podał list przyjaciołom.

— To znaczy — rzekł La Rochardie, że za głośno mówię.

— Albo też, że to nie jest miejsce odpowiednie do takich rozmów — dodał Montgomery. — Lepiej będzie, jeżeli Simonet nie będzie tu nic mówił.

La Rochardie wykrzyknął nagle:

— Ale list nie ma podpisu!

— To prawda.

— Trzeba to wyjaśnić! Kto go napisał? Kto przysłał? Dlaczego?...

Szybki w postanowieniach kapitan nacisnął guzik dzwonka.

Zjawił się kelner i zanim zdążono zadać mu pytanie, pochylił się nad stołem i rzekł szeptem:

— Od Paulina Broquet!

Trzej przyjaciele drgnęli, zadziwieni.

La Rochardie chciał mówić, ale Montgomery chwycił go za ramię:

— Pozwól — ty za głośno krzyczysz.

I sam zapytał:

— Więc Paulin Broquet wie, że my tu jesteśmy?

— Bez wątpienia.

— Jest tutaj? W restauracyi?

— Być może...

— Proszę go poprosić... Będziemy szczęśliwi, gdy go poznamy... Poradzi nam, co mamy czynić...

— Jeżeli Paulin Broquet — rzekł kelner — nie jest tu razem z panami, to znaczy, że nie chce tu być... że ma po temu ważne przyczyny i że uważa, iż list wystarcza...

— Dobrze, dobrze! — odparli wszyscy trzej — zrozumieliśmy.

Kelner wyszedł.

— Dziwne jest to śniadanie — zauważył La Rochardie. — Potrzebujemy dziś spokoju, ciszy, a tu trafiamy na same tajemnice.

— Tak, to też uważam — rzekł Anglik, — że powinniśmy skończyć śniadanie i opuścić to miejsce.

— Zgadzam się z tem najzupełniej — odparł La Rochardie.

— Ja także.

— Więc najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy do ministeryum, do twego gabinetu i tam, paląc cygara, wysłuchamy bez przeszkód twego opowiadania o tej całej sprawie. Oczywiście, przekonamy się najpierw, czy nikt nie podsłuchuje pode drzwiami.

Trzej przyjaciele dokończyli szybko śniadania, uregulowali rachunek i wyszli.

W korytarzu spotkali się z towarzystwem, które wyszło z sąsiedniego gabinetu.

Była to, hrabina Pepa d'Ortega, markiz Izigo Martolo i baron de La Roucoulière. Ten ostatni, jak powszechnie mówiono, kochał się w pięknej hrabinie, asystował jej zawzięcie i odgrażał się, że zabije każdego, kto do przedmiotu jego westchnień się zbliży.

Hrabina d'Ortega, ujrzawszy Simoneta, zatrzymała się.

— Ach! — zawołała wesoło. — To pan, panie Simonet! Co za miłe spotkanie!

Wyciągnęła rękę do szefa gabinetu, który skłonił się głęboko i złożył na małej rączce pocałunek.

Baron de La Roucoulière zadrżał.

Markiz don Martolo również przywitał się z Simonetem, a hrabina zaznajomiła go z baronem — wobec czego Simonet przedstawił swoich przyjaciół:

— Kapitan Montgomery z Londynu... Kapitan de La Rochardie...

Hrabina z wdziękiem, sobie właściwym, podała obu wojskowym rękę.

La Rochardie skłonił się głęboko, obrzucając jednocześnie okiem znawcy wytworną postać młodej kobiety. Anglik uścisnął jej rękę grzecznie i chłodno, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

— Bardzo jestem zadowolona, że pana widzę — zwróciła się hrabina do Simoneta — i muszę panu zaraz powiedzieć, że ma pan bardzo krótką pamięć.

— Jakto, proszę pani?

— Tak, wspominałam już kiedyś panu, że we wtorki i soboty, od piątej do siódmej, przyjmuję swych przyjaciół.

— Ach, tak! rzeczywiście — wstyd mi doprawdy...

— Dotąd pan nie zechciał skorzystać z tego...

— Pani mi daruje... ale...

— Tak, wiem, że pan jest bardzo zajęty sprawami państwa... Ale tłumaczenie nie wystarcza mi. Jedno z dwojga, albo pan zapomniał o zaproszeniu, albo też nie uważa się pan za mego przyjaciela.

— O! pani...

— A więc niech się pan poprawi i przyjdzie...

— Dziękuję, będzie to dla mnie spełnieniem nader miłego obowiązku...

— Ale nie otrzyma pan przebaczenia, o ile nie przyprowadzi pan swych towarzyszy.

— O, proszę pani — zawołał La Rochardie — z radością!

Montgomery zadowolił się milczącym ukłonem. Uśmiechnąwszy się jeszcze raz, piękna hrabina weszła na schody wraz z markizem. Baron de La Roucoulière szedł za nimi, trzęsąc się ze wściekłości i mrucząc pod wąsem:

— Tych trzech ludzi będę musiał zabić!

ROZDZIAŁ XXV.

La Rochardie działa.

W kilka chwil później trzej przyjaciele wyszli z restauracyi.

— Pójdziemy na to przyjęcie? hę? — zapytał z zapałem La Rochardie.

— O ile to będzie niezbędne — żeby towarzyszyć Simonetowi — odparł spokojnie Anglik.

— Piękna kobieta! — zawołał La Rochardie. — Bajeczna kobieta, do stu tysięcy bomb! Co za oczy! Co za usta! Jaki uśmiech! Milion milionów bomb... szkoda... nie lubię brunetek... nie lubię... Ubóstwiam blondynki! Ach! blondynki!

Montgomery, uśmiechnął się nieznacznie, słysząc ten okrzyk. Znał on pewną blondynkę, jedyną istotę, która miała władzę nad porywczym kapitanem francuskiej kawaleryi. Była to jego siostra — Maud Montgomery.

Wszyscy trzej szli teraz w milczeniu, zagłębieni w swych myślach, w stronę ulicy Royale. Doszli tak do gmachu ministeryum spraw zagranicznych. W gabinecie Simoneta, La Rochardie, jakby żartując, opukał ściany, chcąc sprawdzić, czy nie zawierają jakich kryjówek. Obejrzał dokładnie sufit i od czasu do czasu otwierał raptownie drzwi, żeby przekonać się, czy kto za niemi nie podsłuchuje.

Simonet tymczasem opowiadał swoim przyjaciołom o sprawie dokumentu.

Naturalnie La Rochardie chodził przez ten czas wielkimi krokami po pokoju, stukając obcasami, brzęcząc ostrogami i grożąc pięściami nieznanemu wrogowi.

Montgomery siedział spokojnie w fotelu, słuchając opowiadania, nie spuszczając przytem wzroku z kapitana dragonów.

Simonet kończył swe opowiadanie, gdy nagle za drzwiami, prowadzącemi do gabinetu ministra, dał się słyszeć lekki szelest.

— Znowu ktoś podsłuchuje! — wrzasnął La Rochardie i jednym skokiem dopadł drzwi. Otworzył je gwałtownie i pochwycił za kark stojącego za niemi mężczyznę.

— Co pan tu... — zaczął.

Ale zatrzymał się zdumiony... a Simonet i Montgomery zawołali jednocześnie.

— Pan minister!

M. Deboys Billy zrozumiał odrazu, o co chodzi, roześmiał się i rzekł:

— O! teraz mój gabinet jest dobrze strzeżony!

Uścisnął dłoń kapitana, którego znał i nie pozwolił mu przepraszać się za popełnioną omyłkę. Poczem przywitał się z Anglikiem.

— Jestem szczęśliwy, że panów widzę, przyszliście pocieszyć swego przyjaciela. To bardzo pięknie z waszej strony, panowie. No i cóż, mój drogi Simonet, czy lepiej się pan czuje teraz po śniadaniu?

— Ba! — wtrącił La Rochardie — ze zmartwienia prawie nic nie jadł.

— To bardzo naturalne. Mam nadzieję jednak, że po tem, co mu powiem, przyjdzie do siebie i wieczorem będzie miał doskonały apetyt.

Minister położył rękę na ramieniu swego podwładnego i mówił dalej:

— Mówiliśmy długo o tym wypadku z prezydentem ministrów i sekretarzem stanu... Obaj polecili mi wyrazić panu najzupełniejsze zaufanie i szczere współczucie.

— Jestem wzruszony, panie ministrze — odparł Simonet — dziękuję panu.

— Prezydent ministrów sądzi, iż nie należy rozpaczać... Być może, iż klisza, znaleziona przez tego niezrównanego Paulin Broqueta, jest jedyną... W takim razie bandyci nic nie mają... Za poradą ministra sprawiedliwości dałem depeszę cyfrowaną do naszych ajentów zagranicą, by wyśledzili, czy otrzymano tam jaki nowy dokument...

— Niełatwo się będzie dowiedzieć o tem.

— Ale należy użyć wszelkich środków, ja osobiście jestem zdania, że powinno nam się udać... Prócz tego omawialiśmy sprawę wysłania wiado-

mych dokumentów. Mieliśmy uczynić to w przyszłym tygodniu, otóż nastąpiła zmiana. Wyślemy je jutro...

— Jutro?

— Tak, jutro wieczorem. I tu ma pan nowy dowód zaufania, mój drogi Simonet: pan sam zawiezie te dokumenty do Londynu. Zobaczy się pan z ministrem angielskim, dowie się pan o jego zdaniu w sprawie traktatu Dardanellskiego i o sposobie postępowania, by módz dojść do porozumienia. Prócz tego zapyta go pan, w jaki sposób, jego zdaniem, można będzie zapobiedz skutkom wiadomego wypadku. Są to kwestye, które muszą być załatwione ustnie, niepodobna pisać o nich. Panu polecono załatwienie tej sprawy.

— Wielki to zaszczyt dla mnie i wielka radość. Proszę mi wierzyć, panie ministrze, że uczynię wszystko, by odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu.

— Jestem tego pewny, mój drogi Simonet. Za chwilkę niech pan przyjdzie do mego gabinetu, przepisze pan traktat Dardanellski i dwa inne, równie ważne dokumenty.

La Rochardie podniósł nagle rękę i przerywając ministrowi, szepnął szybko:

— Przepraszam panie ministrze.. Ponieważ pan tu jest między nami, więc nie popełnię błędu...

Potężnym skokiem dopadł drzwi, prowadzących na korytarz. Otworzył je... Wyciągnął ramiona...

Korytarz był pusty!

— A! do kroćset! — zawołał kapitan. — Udało mu się!

Zmartwiony, czując, że staje się śmieszny, mruknął:

— A jednak jestem pewny, że tam ktoś był... Słyszałem najwyraźniej kroki, zbliżające się do drzwi.

— Ja także słyszałem — rzekł grzecznie minister.

— I mnie się zdawało — dodał z uśmiechem Montgomery — ale nie jestem pewny.

La Rochardie zaczął się śmiać:

— Widzę, że to u mnie przechodzi w manię. Ciągle zdaje mi się, że nas podsłuchują. Proszę mi darować, panie ministrze, że panu przerwałem.

— Już skończyłem, panie kapitanie. Powiedziałem Simonetowi, co miałem do powiedzenia, zresztą za chwilę zobaczymy się z nim w moim gabinecie, gdzie będziemy pracowali do wieczora.

Minister pożegnał się z obu wojskowymi i wyszedł.

Trzej przyjaciele siedzieli przez chwilę w milczeniu. W ciszy tej nagle dało się słyszeć na korytarzu skrzypnięcie posadzki.

— A! — krzyknął Ma Rochardie — słyszycie! No, teraz nie wymknie mi się!...

Dopadł drzwi i otworzył je. Ale, jak i przed chwilą, korytarz był pusty. La Rochardie nie uspokoił się jednak. Posadzka nie mogła skrzypieć bez powodu. Przeszedł korytarz i otworzył drzwi, prowadzące do pokoju, gdzie mieścili się *attachés* ministeryum. W pokoju tym przy jednem z biurek, rozparty wygodnie w fotelu siedział młody człowiek i czytał spokojnie gazetę.

Był to młody Raynand!

ROZDZIAŁ XXVI.

Cud.

Brygada Paulin Broqueta składała się z ludzi, którzy władali różnymi językami. Gabriel, pierwszy pomocnik detektywa mówił po angielsku, znał również żargony tego języka. Dwaj agenci mówili doskonale po niemiecku — inni znali hiszpański i włoski. Prócz tego ludzie Paulin Broqueta znali wszystkie sporty, umieli walczyć systemem *jiujutsu*, znali boks, umieli strzelać, pływać, jeździć konno, potrafili zarówno kierować łodzią wiosłową, jak żaglową, automobilem, jak i aeroplanem. Byli to skończeni atleci.

Prócz tego Paulin Brcquet dbał o ich stronę umysłową. Musieli czytywać nie tylko dzienniki, lecz i książki rozmaitej treści, bywać w teatrach musieli wiedzieć, o czem mówi Paryż, co się dzieje na prowincyi — jednem słowem zawsze powinni byli być przygotowani do odpowiedzi na zadane pytanie, do swobodnego prowadzenia rozmowy na jakikolwiek temat w każdem środowisku, w jakiem — dzięki przypadkowi — mogli się znaleźć.

Prócz tego — Gabriel był skończonym prawnikiem, a Firmin medykiem. Dwaj inni ajenci byli felczerami. Brygada Paulin Broqueta była więc przygotowana dostatecznie do pracy i wystarczała samej sobie. Przed udaniem się do szynkowni Luksemburskiej — detektyw przejrzał wraz z Gabryelem listę swych pomocników, by przekonać się, jacy z nich są tego dnia wolni.

— Mapipe — rzekł detektyw — Jameza Benamola.

— Tak jest, panie szefie, ale o czwartej zastąpią go inni, którzy będą śledzili i pilnowali Egipcyanina przez resztę dnia i całą noc. Mapipe więc będzie koło piątej wolny.

— Tak, ale poślę go na noc do mieszkania Smitta.

— Może Firmin...

— Ten powinien przez dziś wypocząć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy poda rozwiązanie, z którego nikt nie był z pewnością zadowolony.

— — — — □ — — — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — — — □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Zwierzę ssące afrykańskie. 2. Rzeka w Rosyi. 3 Drzewo. 4. Imię męskie 5. Pokrycie ptaków. 6. Inaczej zasłona. 7. Wysoka godność autonomtczna 8. Znana słabość. 9. Sprzęt domowy. 10. Styl. 11. Ciało niebieskie. 12. Drzewo. 13. Owad. 14. Wykonanie wyrokn.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: I upadł muł, pręgi, dzidy, gzy, nogą.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Rutkowska, Borysław.

Z podanvch liter ułożyć znane polskie przysłowie: Wrota, nu, likier, Hunn, z, Pac, no, cze, wu, orać, b.

Szarada.

Ułożyła M. Klar.

Hipolit z Hilarym w wielkiej zgodzie żyli,
Pierwsze mieli w głowie, *pierwszem* się szczycili
Gdy jeden *wspak czwarte* rzekł donośnym głosem,
Drugi się pokornie zgadzał z swoim losem.
Hipek proponuje: Jedźmy *czwarte*, bracie,
Gdzie *drugie* lśni w słońcu w całym majestacie...
Trzecie — rzekł Hilary — również pięknie płynie,
W tem samem łożysku, w tej samej dolinie!
A *całość*, kochanku, nie mieszka tu blizko,
W innej części świata ma swoje siedlisko.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Stan. Marc. Rzeszów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: I kowal mu w toku wali.

Szarada.

Ułożyła M. Klar.

Pierwsze litera, drugie litera,
Trzecie bezsprzecznie koran zawiera,
Czwarte na całe jasno wskazuje,
Że dziś pokaźne miejsce zajmuje.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko zwycięzcy w ostatnim biegu maratońskim.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2 Inaczej wielbiciel. 3. Miasto na Dalekim Wschodzie. 4 Inaczej zapach 5. Roślina pastewna. 6 Znany minerał o bardzo nizkim stopniu twardości. 7. Wykrzyknik. 8 Rzeczownik bardzo rzadko używany. 9. Spółgłoska.

Łamigłówka.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich znaną maksymę.

Człowiek do śmierci rozumu się uczy.
Co godzina zatraci, czasem wiek nie zapłaci.
Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.
Chuda fara, sam pleban dzwoni.
Jeż pokole też.
Czego panowie nawarzą, tem się poddani poparzą.
Żaden jachtelem nie pije.
Cygan się świadczy swemi dziećmi.
Co komu sądzono, to go nie minie.
Święta Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie.
Nie suknia zdobi człowieka.

Logogryf literacki.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami aby miejsce kwadratów zajęła zawsze samogłoska „a“. Rzędy poziome podadzą nam tytuły dzieł niżej wymienionych autorów.

— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —

Autorzy: 1) Sienkiewicz. 2) Kraszewski. 3) Rodziewiczówna. 4) Skiba. 5) Urbański. 6) Bourget. 7) Gąsiorowski.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Bzy mętne, wrono, pięść, dzieło, dziady.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *E. Zorjana:* Grunwaldzki boj. Powieść historyczna.